



R



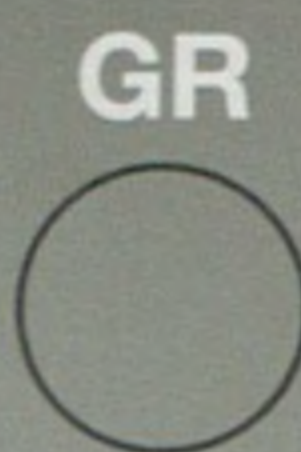
G



B



WH



GR

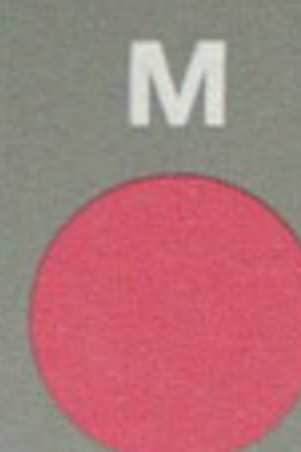


BL

Grey Scale #13



C



M



Y



K

DANES-PICTA.COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

17

18

19

Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

Inches

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

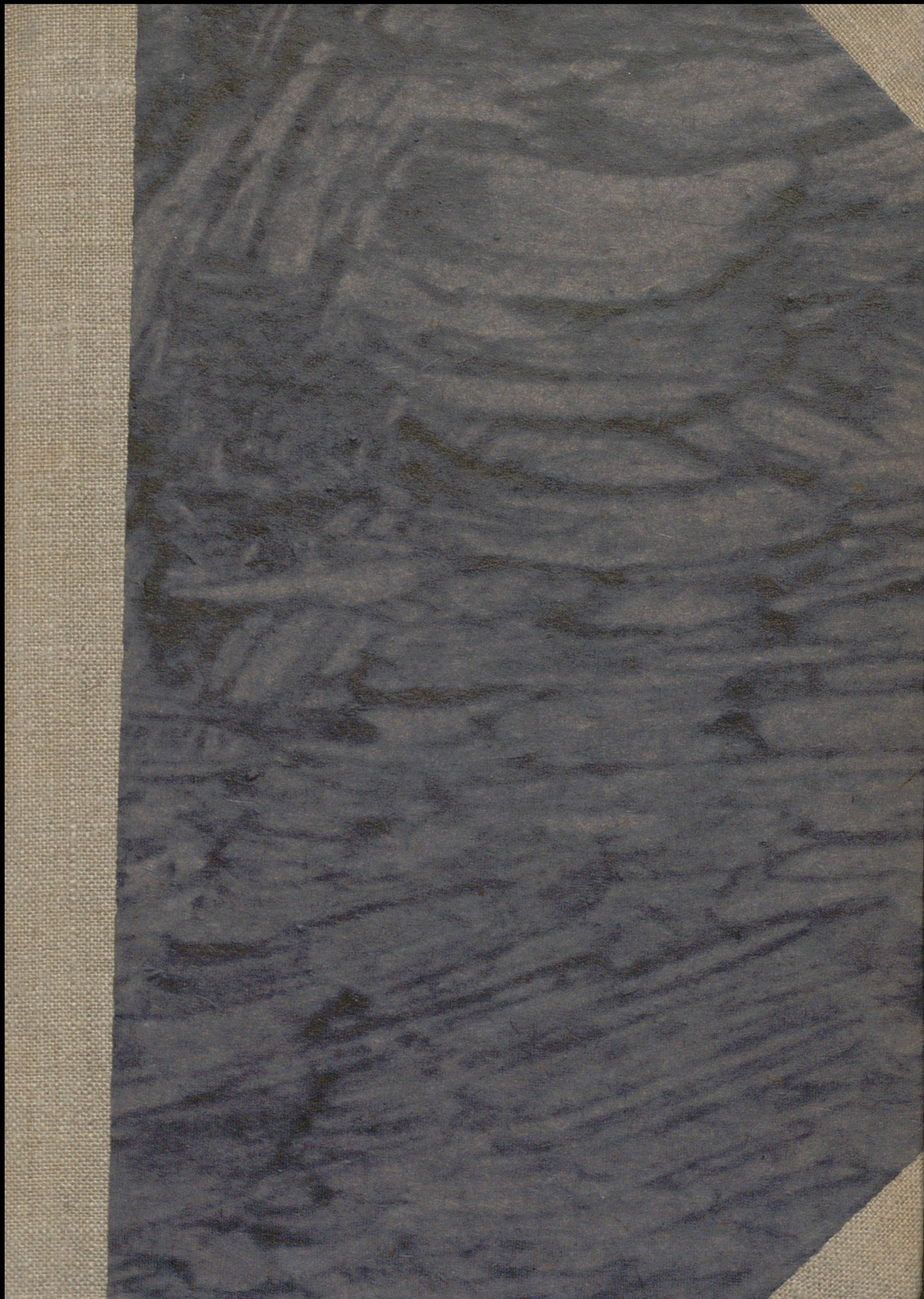
16

17

18

19

DANES-PICTA.COM



J. KACZANOWSKA i WŁ. WEYCHERT - SZYMANOWSKA

OD NIEWOLNICTWA DO WYZWOLENIA CZŁOWIEKA PRACY

Część I
NIEWOLNICTWO



PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH
WARSZAWA 1948

OD NIEWOLNICTWA DO WYZWOLENIA CZŁOWIEKA PRACY

Cz. I — Niewolnictwo

Cz. II — Poddaństwo

Cz. III — Najemnictwo

Zatwierdzone pismem Ministerstwa Oświaty
nr VI Oc — 2819/47, z dn. 5. XII. 1947 r.,
jako książka polecona do bibliotek szkół
podstawowych (kl. VI — VIII), szkół i kur-
sów dla dorosłych oraz świetlic



Podpisano do druku dn. 26. VI. 1948

Nakład 50 000 egz.

Arkuszy druk.: 5³/₄

Zarząd. 707

Zamówienie nr 1972

Pap. w form. 61/86 cm, kl. VII, 70 g

Drukarnia Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi
71/48 — D - 027654

OD AUTOREK

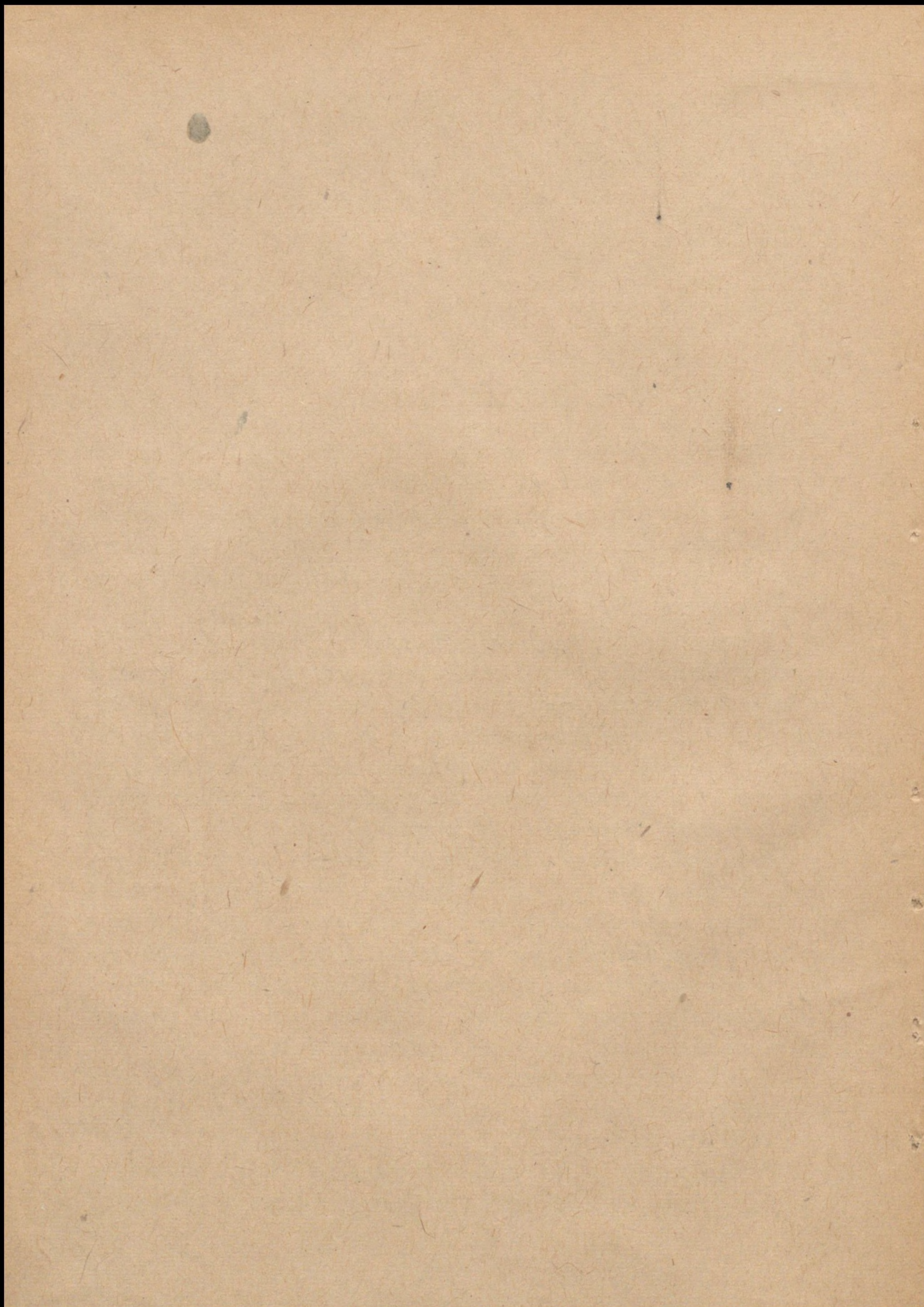
Dajemy czytelnikom szereg obrazów życia i pracy warstw pracujących, upośledzonych, niewolniczych w ciągu długich wieków — w różnych krajach i w różnych okresach historii. Bierzemy pod uwagę stosunki europejskie, z rzadka zaglądając do innych części świata — do Afryki — w Egipcie starożytnym, do Ameryki — w wieku XIX i XX.

Obrazy czerpiemy z arcydzieł autorów przeważnie polskich, z pamiętników i dokumentów historycznych. Wiążemy je artykułami popularnonaukowymi, aby wyjaśnić czytelnikom podłoże historyczne obrazów stworzonych przez artystów słowa. Pamiętać przy tym należy, że jeśli w artykułach mówi się o faktach, to w obrazach literackich mamy do czynienia z fantazją autora opartą jednak na prawdzie historycznej.

Przy końcu każdej z trzech części książki podajemy skrót, jakby powtórzenie tego, co, jak sądzimy, powinno było pozostać w pamięci czytelnika, oraz w krótkie formuły ujętą istotę niewolnictwa, poddaństwa i najemnictwa. Chodzi nam o to, by czytelnicy powtórzyli sobie i uprzytomnili różnice zachodzące między tymi trzema formami zależności i zobaczyli jasno linię wiodącą od niewolnictwa do wyzwolenia człowieka pracy.

Książkę przeznaczamy dla słuchaczy wszelkich kursów i szkół kształcących oraz dla samouków, którzy gdzieś na głębokiej prowincji chcą się uczyć.

Przeznaczamy ją dla tych, którzy walczą o lepsze jutro i tęsknią do ideału wolności człowieka i sprawiedliwości społecznej.



WSTĘP

Pan życia i śmierci — potężny, silny, wielki, możny, okrutny czy miłosierny i litościwy, ale zawsze trzymający w dłoniach życie drugiego człowieka jak kartkę papieru, którą w każdej chwili można zmiąć, rzucić i podeptać.

Niewolnik — cień człowieka, wzgardzony, biedny, zakuty w kajdany lub z pętlą na szyi, pokorny i uniżony, patrzący nieśmiało w oczy pana, klęczący przed nim, całujący jego szaty, ale przeklinający go, gdy ten nie słyszy, godzący w niego, gdy nie widzi, przysięgający zemstę za krzywdy.

Oto dwa krańce łańcucha skuwającego tych, którzy pracują, z tymi, którzy potrafili i mogli innych zaprząć do pracy dla siebie, do pracy fizycznej ciężkiej i mozolnej — do pracy, która nie pozwala odpocząć, pomyśleć o sensie życia, o przeznaczeniu człowieka, o świecie otaczającym, do pracy, od której chce się uciec do odpoczynku, do zabawy i radości życia.

Kto silniejszy i bezwzględniejszy, ten sobie lepszą część zabierze, ten zepchnie najcięższe i najniewdzięczniejsze roboty na barki słabszego.

Mówiąc o tym podziale sięgamy czasów pradawnych, kiedy społeczeństwa zaczynały się organizować, kiedy zaczynały się tworzyć warstwy społeczne, z których jedne mają władzę nad innymi. Gdzie bowiem istnieje podział pracy oparty na wyzysku, tam musi istnieć władza przemoc tę utrzymująca. Ustala się zwyczaj, który pracę narzuca z pokolenia na

pokolenie i normuje stosunki między ludźmi — tworzą się więc prawa, powstają organizacje, pozwalające trwać przemocy nawet wtedy, gdy władcy są słabi, a podwładni silni. Organizacje te istnieją i dla warstw panujących, i dla podwładnych — pracujących, ustalając podział między nimi. Ale prawa są wydane przez władców i zmierzają do tego, by podwładni bez buntu spełniali najcięższe prace i obowiązki w przekonaniu, że są właśnie do nich stworzeni, że panom należy się swoboda, lepsza praca, lepsze stanowisko, więcej dóbr doczesnych, że oni tylko są mądrzy, mogą się zajmować nauką, sztuką, że najwyżsi władcy są sługami Boga, pomazańcami boskimi, wykładnikami woli bożej itp.

Te najbardziej ogólne pradowe organizacje to różne formy państwa, które zawsze rozporządzało jakąś siłą zbrojną utrzymującą przemoc fizyczną, oraz kościół i zorganizowana warstwa kapłanów utrzymująca przemoc moralną i posiadająca w dawnych czasach przewagę umysłową nad ciemnym ludem. Poniżej tych warstw panujących stoją ci, którzy wytwarzają dobra społeczne, produkują, a więc rolnicy i rzemieślnicy. Są to warstwy niższe, składające się z ludzi pracujących fizycznie, najczęściej ponad siły, w biedzie, w nędzy i w poniewierce.

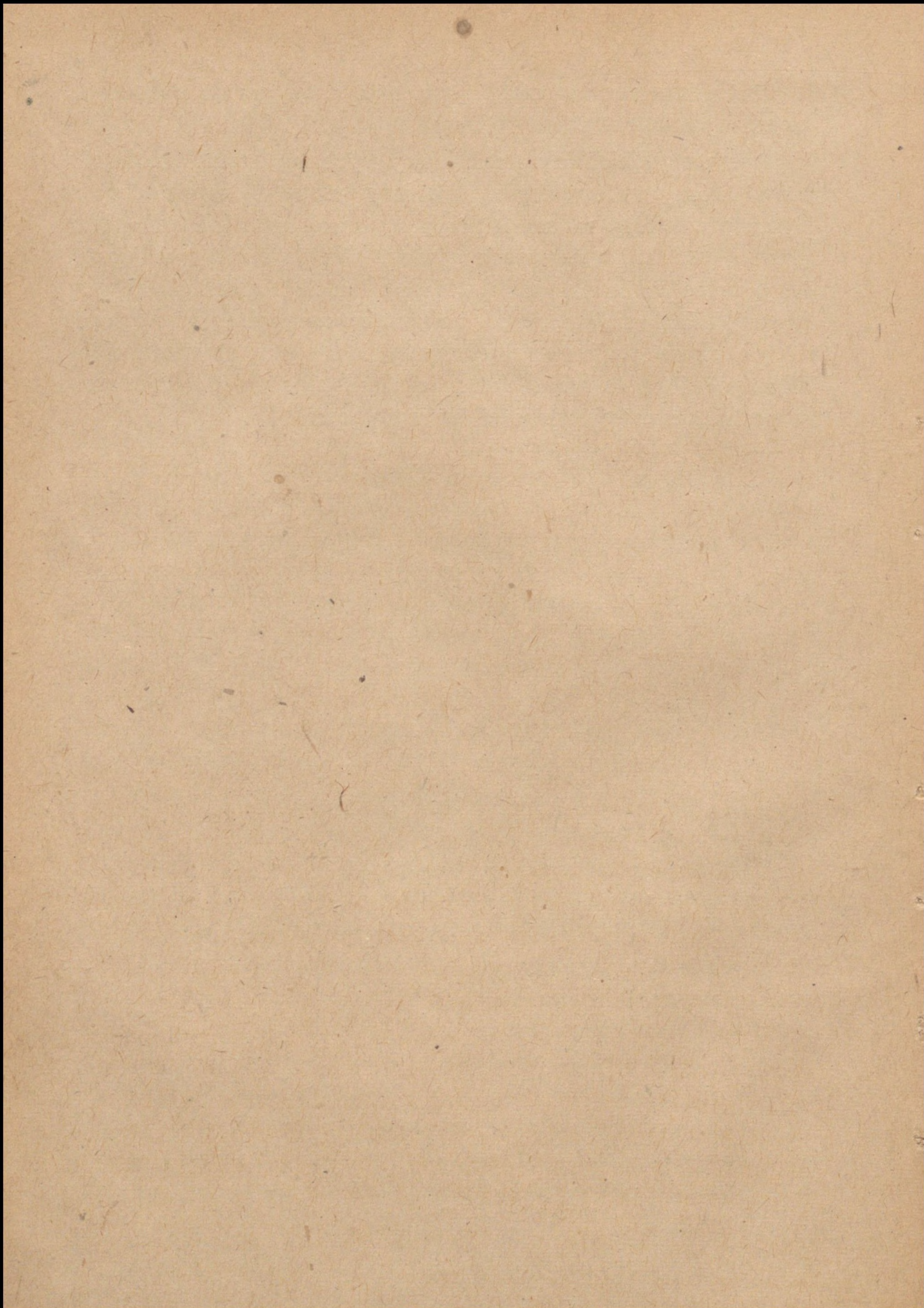
Stopień niewolniczej zależności bywał różny w różnych czasach. Niewolnictwo, poddaństwo, najemnictwo — oto jej etapy. Zobaczymy w tej książce, że linia wiodąca do wolności człowieka i zorganizowania życia tak, by przemoc nad nim nie ciążyła, jest wyraźna, ale nie brak w niej zakrętów i łamańców.

Długie i bolesne są dzieje uzależnienia człowieka biednego, słabego i ciemnego od silnego, bogatego i mądrego, który korzysta z jego pracy. Związana nierozzerwalnie z pracą zależność przybiera różne kształty, bo różne są formy produkcji i transportu w każdym okresie dziejowym i różne są narzędzia pracy. Na szczęście, im więcej wynalazków technicznych, tym praca staje się lepsza, a w związku z tym rozluźniają się więzy niewoli. Starożytne niewolnictwo zasadniczo straszniejsze by-

ło niż średniowieczne poddaństwo, a to znów gorsze niż nowoczesne najemnictwo.

We wszystkich okresach dziejowych są szermierze wolności, którzy walczą i giną lub zwyciężają — są szlachetni myśliciele, którzy marzą o przyszłej szczęśliwej ludzkości bez gwałtu i ucisku, bez wyzysku pracy. Dzieje walki o to lepsze jutro pełne są krwi i ofiar, wielkich nadziei, szlachetnych porwów, bohaterskich czynów i wspaniałych zwycięstw. Są one rosą ożywczą dla serc umęczonych, nadzieją w chwilach ciężkich, podniętą do walki, którą staczać musi każde pokolenie w pochodzie całej ludzkości ku wyżynom.

W. Sz.



NIEWOLNICTWO W EGIPCIE

Wpływ przyrody na kształtowanie się cywilizacji i organizacja pracy w starożytnym Egipcie

Bolesław Prus: *Faraon*

Znany powieściopisarz Bolesław Prus (Aleksander Głowacki, 1847—1912) cenił bardzo naukę i na badaniach naukowych o starożytnym Egipcie oparł powieść napisaną w r. 1895, *Faraon*. Na stosunki w Egipcie patrzy on oczami mądrego człowieka współczującego ludziom biednym, ciemnym i uciskanym.

W północno-wschodnim kącie Afryki leży Egipt, ojczyzna najstarszej cywilizacji na świecie. Przed trzema, czterema, a nawet pięcioma tysiącami lat, kiedy w środkowej Europie odziani w skóry barbarzyńcy kryli się po jaskiniach, Egipt już posiadał wysoką organizację społeczną, rolnictwo, rzemiosła i literaturę. Nade wszystko zaś wykonywał olbrzymie prace inżynierskie i wznosił kolosalne budowle, których szczątki budzą podziw w technikach nowożytnych.

Egipt jest to żyzny wąwóz między Pustynią Libijską i Arabską. Głębokość jego wynosi kilkaset metrów, długość 130 mil, średnia szerokość zaledwie milę. Od zachodu łagodne, ale nagie wzgórza libijskie, od wschodu strome i popękane skały arabskie — są ścianami tego korytarza, którego dnem płynie rzeka Nil.

Z biegiem rzeki na północ ściany wąwozu zniżają się, a w odległości 25 mil od Morza Śródziemnego nagle rozchodzą się i Nil, zamiast płynąć ciasnym korytarzem, rozlewa się kilkoma ramionami po obszernej równinie mającej kształt trójkąta. Trójkąt ten, zwany Delta Nilową, ma za podstawę brzeg Morza Śródziemnego, u wierzchołka zaś, przy wyjściu rzeki z wąwozu, miasto Kair — tuż przy przedwiekowej stolicy — Memfis.

Gdyby kto mógł wznieść się o 20 mil w górę i stamtąd spojrzeć na Egipt, zobaczyłby dziwną formę kraju i osobliwe zmiany jego koloru. Z tej wysokości na tle białych i pomarańczowych piasków Egipt wyglądałby jak wąż, który w energicznych skrętach posuwa się przez pustynię do Morza Śródziemnego i już zanurzył w nim trójkątną swą głowę ozdobioną dwójgłębem oczu: lewym — Aleksandrią i prawym — Damietą.

Długi ten wąż w październiku, kiedy Nil zalewa cały Egipt, miałby błękitną barwę wody. W lutym, kiedy miejsce opadających wód zajmuje wiosenna roślinność, wąż byłby zielony z błękitną pręgą wzdłuż ciała i mnóstwem błękitnych żyłek na głowie, z powodu kanałów, które przecinają Deltę. W marcu błękitna pręga zwęziłaby się, a ciało węża skutkiem dojrzewania zbóż przybrałoby kolor złoty. Wreszcie w początkach czerwca Nilowa pręga byłaby bardzo cienka, a ciało węża zrobiłoby się szare, jakby przysłonięte krepą wskutek suszy i pyłu.

Zasadniczą cechą klimatu egipskiego jest upał; w styczniu bywa dziesięć stopni ciepła, a w sierpniu dwadzieścia siedem; niekiedy gorąco sięga czterdziestu siedmiu stopni, co u nas odpowiada temperaturze rzymskiej łaźni. Nadto w sąsiedztwie Morza Śródziemnego, nad Delta, deszcz pada ledwie dziesięć razy na rok, w Górnym zaś Egipcie — raz na dziesięć lat.

W tych warunkach Egipt zamiast kolebką cywilizacji byłby pustynnym wąwozem, jakich pełno wśród Sahary, gdyby co rok nie wskrzeszały go wody świętej rzeki Nilu. Od końca czerwca do końca września Nil przybiera i zalewa prawie cały Egipt; od końca października do końca maja roku następnego

opada i stopniowo odsłania coraz niższe płaty gruntu. Wody rzeki są tak przesycone mineralnymi i organicznymi szczątkami, że kolor ich staje się brunatnawy, więc w miarę opadania wód na zalanych gruntach osadza się muł żyzny, który zastępuje najlepsze nawozy. Ten muł i gorący klimat sprawiają, że Egipcjanin zamknięty między pustyniami może mieć trzy zbiory w ciągu roku i około trzystu ziarn z jednego ziarna zasiewu.

Ale Egipt nie jest jednostajną płaszczyzną, lecz krajem falistym; niektóre grunta jego tylko przez dwa lub trzy miesiące piją błogosławione wody, inne nie widzą ich przez rok cały, wylew bowiem nie dosięga pewnych punktów. Niezależnie od tego trafiają się lata małych przyborów, a wówczas część Egiptu nie otrzymuje zapładniającego mułu. Nareszcie skutkiem upałów ziemia prędko wysycha i trzeba ją zlewać jak w doniczkach.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że naród zamieszkujący dolinę Nilu musiał albo zginąć, jeżeli był słabym, albo uregulować wody, jeżeli posiadał geniusz. Starożytni Egipcjanie mieli geniusz, więc stworzyli cywilizację.

Aby zachować wodę przez cały rok, wykopali długą na kilka tysięcy mil sieć kanałów. Aby zabezpieczyć się od nadmiernych wylewów, wznosili potężne tamy i kopali zbiorniki, spomiędzy których sztuczne jezioro Moeris zajmowało trzysta kilometrów kwadratowych powierzchni przy dwunastu piętach głębokości. Nareszcie wzdłuż Nilu i kanałów pobudowali mnóstwo prostych, ale skutecznych machin hydraulicznych, za pomocą których można było czerpać wodę i wylewać ją na pola położone o jedno lub dwa piętra wyżej. I jeszcze jako dopełnienie wszystkiego trzeba było co rok oczyszczać zamulone kanały, poprawiać tamy i budować wysoko położone drogi dla wojsk, które w każdej porze musiały odbywać marsze.

Te olbrzymie prace wymagały, obok wiadomości z astronomii, miernictwa, mechaniki i budownictwa, jeszcze doskonałej organizacji. Stąd powstała konieczność utworzenia armii

robotniczej liczącej setki tysięcy głów, działającej w oznaczonym celu i pod jednym kierunkiem, armii, która potrzebowała wiele żywności, środków i sił pomocniczych.

Egipt zdobył się na taką armię pracowników i jej zawdzięcza swoje wiekopomne dzieła. Zdaje się, że stworzyli ją, a potem kreślili jej plany kapłani, czyli mędrcy egipscy, rozkazywali zaś królowie, czyli faraonowie.

Tym sposobem sama przyroda Egiptu domagająca się wielkiej, ciągłej i porządnej roboty stworzyła szkielet społecznej organizacji tego kraju: lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany.

Łagodny i wesoły, bynajmniej nie wojowniczy lud egipski dzielił się na dwie klasy: rolników i rzemieślników. Między rolnikami musieli być jacyś właściciele drobnych kawałków gruntu, przeważnie jednak byli dzierżawcy ziem należących do faraona, kapłanów i arystokracji. Rzemieślnicy wyrabiający odzież, sprzęty, naczynia i narzędzia byli samodzielnymi; pracujący zaś przy wielkich budowlach tworzyli jakby armię.

Każda z tych specjalności, a głównie budownictwo wymagało sił pociągowych i motorów: ktoś musiał czerpać po całych dniach wodę z kanałów lub przenosić kamienie z kopalń tam, gdzie były potrzebne. Te najcięższe mechaniczne zajęcia, a przede wszystkim prace w kamieniołomach, wykonywali przestępcy skazani przez sądy lub schwytani na wojnie niewolnicy.

Ludność wiejska w Egipcie

Maspero: *Historia starożytna Wschodu*. T. I — 1893 r.

Maspero był uczonym egiptologiem francuskim (1846—1916). Egiptologia rozwinęła się we Francji od czasów Napoleona, który na swą wyprawę do Egiptu zabrał uczonych. Jeden z nich, Champollion, pierwszy odczytał hieroglify, tj. pismo egipskie.

Ludność wiejska Egiptu żyła w obszernych, bardzo rozrzuconych wioskach, których stan podobny był do dzisiejszego: z pół tuzina domów dość dobrze zbudowanych, gdzie mieszkają

możni wioski, i mnóstwo chatek tak niskich, że stojąc, prawie dosięga się dachu głową; na podwórzu budynki z okrągłych kamieni, gdzie chowają zboże i dnurra (orzech ziemny), a wszędzie mnóstwo drobiu i bydła pospołu z ludźmi.

Nie wszyscy chłopci znajdowali się w jednakowym stopniu zależności. Właściwi niewolnicy zwykle byli cudzoziemskiego pochodzenia. Właściciel postępował z nimi wedle swej woli, sprzedawał, ścigał w razie ucieczki. Musieli oni pracować według rozkazów rządców, nie otrzymując żadnej regularnej zapłaty i pozbawieni nadziei polepszenia losu.

Stan rolników swobodnych przypominał położenie dzisiejszych chłopów egipskich (fellachów). Niektórzy wynajmowali się po prostu dziennie lub rocznie jako robotnicy na fermie. Inni dzierżawili ziemię, jeszcze inni, i ci byli najszcześliwsi, otrzymywali działki ziemi do użytkowania, lecz pozostawała ona własnością najpierw faraona¹⁾, potem pana feudalnego. Oprócz opłaty osobistej płacili jeszcze podatek z ziemi. Oto w jaki sposób jeden z papirusów²⁾ przedstawia smutną dolę chłopca: „Robaki zjadły mu połowę żywności, koń nilowy³⁾ — drugą. Mnóstwo myszy wylęło się w polu, wróble rozkradły ziarno. O nędzo rolnika! A tę resztę, jaka na klepisku pozostała, rozdrapali złodzieje doszczętnie. A tu zjawia się pisarz, żeby zboże zabrać. Towarzysze jego mają kije w rękach, a Negrowie⁴⁾ różgi palmowe. I mówią: „Oddaj ziarno“. Nie ma go wcale. Więc rozciągniętego na ziemi biją, wiążą, a potem wrzucają do kanału. Wiążą też jego żonę i biorą w pęta dzieci. Sąsiedzi uciekają ratując swe ziarno“.

Istniały także w państwie egipskim całe zastępy rolników i rękodzielników, stanowiących własność chlebowawcy.

1) Władca egipski

2) Rodzaj papieru wyrabianego z łodyg rośliny papirusa; zwoje papirusowe przechowywały się do naszych czasów.

3) Hipopotam

4) Murzyni

Praca niewolników nie była jednak wystarczająca i część Egiptu leżałaby stale odłogiem, gdyby się nie uciekano do pomocy chłopów wolnych. Wieśniacy oprócz nielicznych wyjątków: żołnierzy, sług kościelnych itp. — obowiązani byli do pracy na gruntach skarbowych, każdy na wyznaczonym mu dziale. Rozkazy zwoływały w oznaczonym czasie ludzi z bydłem roboczym, by orać, siać, pilnować pola i zbierać — wszystko to na ich koszt i ze szkodą ich własnych interesów. Rodzajem wynagrodzenia była szczupła liczba pastwisk przeznaczonych dla wieśniaków, na które wypędzali bydło podczas wylewów. Natomiast robocizna przy sztucznym nawadnianiu nie dawała im żadnej rekompensaty... Tamy, baseny i kanały wymagają ciągłego czuwania, trzeba je stale wzmacniać i oczyszczać. Ludzie zajęci przy tym często dni całe spędzają w wodzie, zbierając obiema rękami błoto, które chłopcy i dziewczęta wynoszą w koszach na głowie. Błoto przecieka przez kosze, oblewa ich twarze i pokrywa całe czarną świecącą powłoką. Po całodiennej pracy z 2-godzinną przerwą na obiad ci nieszczęśliwi kładli się spać tuż obok, pod odkrytym niebem, jeden przy drugim, źle zabezpieczeni swymi łachmanami od nocnego chłodu. Była to praca tak ciężka, że na nią skazywano złoczyńców, niewypłacalnych dłużników i jeńców wojennych, lecz wymagała tylu rąk, że i wolni wieśniacy nie zawsze mogli jej uniknąć. Po jej spełnieniu byli w zasadzie wolni na resztę roku od robocizny, jeżeli nie wypadało coś nieprzewidzianego, co zmuszało do porzucenia wszelkich zajęć dla interesów króla lub pana. Mogło chodzić o budowę pomnika, naprawę murów świątyni itp. W takim razie rozkazy króla niezwłocznie powoływały znowu tłumy włościan. Nie wszystkie robocizny nawet były prawne, lecz wieśniacy nie mieli żadnych środków obrony.

Sprawiedliwość w Egipcie, jak w ogóle na Wschodzie, jest jedynie gałęzią administracji publicznej. Nie było tam ludzi, którzy by znali prawo i przestrzegali je. Ciż sami, którzy dowodzili armią, odprawiali nabożeństwa lub zbierali podatki, rozsądzali także wszelkie sprawy i procesy. W każdym mieście,

w każdej wiosce ten, kto miał prawo rządzenia, był zarazem i sędzią. W dni określone każdego miesiąca zasiadał rządca przede drzwiami miasta lub swego pałacu i każdy, kto posiadał tytuł albo urząd: kapłan, pisarz, dowódca wojsk, mógł zająć miejsce obok niego i razem z nim załatwiać sprawy bieżące. Policja składała się zwykle z cudzoziemców, Negrów lub Beduinów. Znaczną część spraw decydowano od razu i bez apelacji, tylko ważniejsze były przedmiotem rozmyślań i rozpraw. Proces prowadzenia spraw przypomniałby dzisiejszy z dodatkiem kija. Kary bywały rozmaite: chłosta, więzienie, kara pieniężna, dodatkowe robocizny, a za występki ważniejsze — ciężkie roboty w kopalniach Etiopii, utrata nosa i uszu, wreszcie śmierć przez powieszenie, na palu lub na stosie. Przestępcy z wysokiego rodu otrzymywali prawo spełnienia na sobie wyroku i w ten sposób zastępowali samobójstwem hańbę publicznej egzekucji.

Przed takim trybunałem fellach skarżący się na niesprawiedliwość podatków lub robocizny miał mało szans uzyskania słusznego wyroku — przecież pisarz, który go skrzywdził, zasiadał z urzędu w sądzie. Chłop mógł co prawda apelować do swego pana lub nawet faraona, lecz niewiele by zyskał. Sprawę odraczano by do nieskończoności, a wreszcie, dzięki wpływom mocniejszej strony przeciwnej, rezolucja monarsza potwierdziłaby pierwotną. A przez czas trwania sprawy ziemia jego byłaby nieuprawiona, żona i dzieci cierpiałyby głód, resztki mienia szłyby na opłacenie kosztów sądowych. Stokroć lepiej było od razu zrezygnować i poddać się losowi. Los fellacha pogarszał się jeszcze, gdy do wymagań państwowych doliczymy wymagania i kaprysy pana.

Los fellacha w starożytności był więc ciężki. Musiał on pracować przez cały rok, orać, siać i zbierać od rana do wieczora, na pierwsze wezwanie biec na robociznę, opłacać ciężkie podatki nie będąc nigdy pewnym, czy po spełnieniu tego wszystkiego pozostawią go w spokoju. Lecz nawet taka nędza nie mogła zmienić żywości jego temperamentu: pomniki, na któ-

rych przedstawione jest jego życie ⁵⁾), ukazują nam w pełni niewyczerpaną żywotność.

Skończyły się miesiące letnie, woda opadła, ziemia obeschła, nastąpił czas siewu. Wieśniak wziął ze sobą narzędzia i udał się na pole. W niektórych miejscach niedostatecznie rozmiękła ziemia stawia opór i pług z trudnością kraje glebę. Jeden z robotników, zgięty we dwoje, wyteża wszystkie siły, by utrzymać lemiesz. Jego towarzysz kieruje woły i pogania je pieśnią. Od czasu do czasu nawołują się wzajemnie. Za nimi postępuje ten, który ma siać, i rzuca ziarna w bruzdy. Stado kóz lub owiec zamyka pochód i deptając ziemię zasypuje ziarno. Pastuchy trzaskają z batów i śpiewają pieśni uzalające się nad losem fellacha spełniającego robociznę przy kanałach: „Kopacz żyje w wodzie razem z rybami itd.“. Praca odbywa się zawsze pod okiem dozorczy! Gdy nadzór słabnie, robota ustaje, zaczynają się spory, bierze górę lenistwo. Oto dwaj ludzie wyprzęgli pług. Jeden pośpiesznie doi krowę, drugi trzyma ją za rogi czekając na swoją kolej. Ryzykują obaj chłostę za garnek mleka. Wreszcie zboże dojrzało, nastąpił czas żniwa. Fellach uzbrojony w sierp żnie zboże. Flecista przygrywa mu przy pracy. Służący krąży między żniwiarzami podając spragnionym piwo.

Los niewolnika w starożytnym Egipcie

Bolesław Prus: *Faraon*

Opisane zdarzenie dzieje się w czasie manewrów wojsk egipskich.

Już dobre pół godziny orszak posuwał się krętym wąwozem o ścianach nagich i spadzistych, gdy straż przednia zatrzymała się. W tym miejscu znajdował się inny wąwóz poprzeczny, środkiem którego ciągnął się dość szeroki kanał.

Goniec wysłany do ministra z wiadomością o przeszkodzie przywiózł polecenie, ażeby kanał natychmiast zasypać.

⁵⁾ Rysunki na ścianach piramid

Okolo setki żołnierzy z oskardami i łopatami rzuciło się do roboty. Jedni odrąbywali kamienie ze skał, inni wrzucali je do rowu i przysypywali piaskiem.

Wtem z głębi wąwozu wyszedł człowiek z motyką mającą formę bocianiej szyi z dziobem. Był to chłop egipski, stary, zupełnie nagi. Przez chwilę z najwyższym zdumieniem patrzył na robotę żołnierzy, nagle skoczył między nich wołając:

— Co wy okazujecie, poganie, przecież to kanał?...

— A ty jak śmiesz złorzeczyć wojownikom jego świętobliwości? — zapytał go obecny w tym miejscu Eunana.

— Widzę, że musisz być wielkim i Egipcjaninem — odparł chłop — więc odpowiem ci, że ten kanał należy do potężnego pana: jest on ekonomem u pisarza przy takim, co nosi wachlarz jego dostojności monarchy Memfis. Baczcie więc, ażeby was nieszczęście nie spotkało!...

— Róbcie swoje — rzekł protekcjonalnym tonem Eunana do żołnierzy, którzy zaczęli przypatrywać się chłopu.

— Oni wciąż zasypują!... — mówił chłop z rosnącym przerażeniem. — Biada wam, psubraty — zawołał rzucając się na jednego z motyką.

Żołnierz wyrwał motykę, uderzył chłopą w zęby, aż krew wystąpiła mu na usta. A potem znowu zabrał się do sypania piasku.

Oszołomiony ciosem, chłop stracił odwagę i zaczął błagać:

— Panie — mówił — ależ ten kanał ja sam kopalem przez 10 lat, nocami i w święta. Nasz pan obiecał, że jeżeli uda mi się przeprowadzić wodę do tej dolinki, zrobi mnie na niej parobkiem, odstąpi piątą część zbiorów i da wolność... słyszy-cie?... Wolność mnie i trojgu dzieciom!... o bogowie!... Od dziesięciu lat, kiedy inni szli na jarmark albo na tańce, albo na świętą procesję, ja wykradałem się w ten niegościnnie wą-wóz. Nie chodziłem na grób matki mojej, tyłkom kopał. Zapomniałem o zmarłych, ażeby moim dzieciom i sobie choć na jeden dzień przed śmiercią dać wolność i ziemię... Wy bądź-cie moimi świadkami, o bogowie, ile razy zaskoczyła mnie tu-

taj noc!... ile ja tu razy słyszałem płaczliwe głosy hien i widziałem zielone oczy wilków! Alem nie uciekał, bo dokądże bym, nieszczęsny uciekł, gdy na każdej ścieżce czyhał strach, a w tym kanale wolność trzymała mnie za nogi?... Razu jednego tam, za tym wyłomem, wyszedł na mnie lew, faraon wszystkich zwierząt. Motyka wypadła mi z ręki. Więc ukląknąłem przed nim i rzekłem te słowa, jak mnie widzicie: „Panie, czyliż raczyłbyś mnie zjeść?... jestem przecież tylko niewolnikiem!“. Lew drapieżca ulitował się nade mną. Omijał mnie wilk; nawet zdradzieckie nietoperze oszczędzały biedną moją głowę, a ty, Egipcjaninie...

Chłop umilkł: spostrzegł zbliżający się orszak ministra Herhora. Po wachlarzu poznał, że musi to być ktoś wielki, a po skórze pantery, że kapłan. Pobiegnął więc ku niemu, ukląknął i uderzył głową o piasek.

— Czego chcesz, człowieku? — zapytał dostojnik.

— Światło słoneczne, wysłuchaj mnie! — zawołał chłop. — Oby nie było jęków w twojej komnacie i nieszczęście oby nie szło za tobą! Oby twoje czyny nie załamały się i oby cię prąd nie porwał, gdy będziesz płynął Nilem na drugi brzeg...

— Pytam, czego chcesz? — powtórzył minister.

— Dobry panie — powiedział chłop — przewodniku bez kaprysów, który zwyciężasz fałsz, a stwarzasz prawdę... który jesteś ojcem biedaka, mężem wdowy, szatą niemającego matki... Pozwól, abym miał sposobność rozgłaszać imię twoje jako prawo w kraju... Przyjdź do słowa ust moich i zrób sprawiedliwość, najszlachetniejszy z szlachetnych...¹⁾

— On chce, ażeby nie zasypywano tego rowu — odezwał się Eunana.

Minister wzruszył ramionami i posunął się w stronę kanału, przez który rzucono kładkę. Wówczas zrozpaczony chłop pochwycił go za nogi.

1) Gadanina chłopca autentyczna

— Precz z tym!... — krzyknął jego dostojność cofnąwszy się jak przed ukąszeniem żmii.

Eunana schwycił i ścisnął chłopą za kark, a nie mogąc oderwać go od nóg ministra, wezwał żołnierzy. Po chwili jego dostojność, ośwobodzony, przeszedł na drugą stronę rowu, a żołnierze prawie w powietrzu odnieśli chłopą na koniec maszerującego oddziału. Dali mu kilkadziesiąt kułaków, a zawczasu zbrojni w trzciny oficerowie odliczyli mu kilkadziesiąt kijów i nareszcie rzucili u wejścia do wąwozu.

Zbity, pokrwawiony, a nade wszystko przestraszony, nędzarz chwilę posiedział na piasku, przetarł oczy i nagle zerwawszy się zaczął uciekać w stronę gościńca jęcząc:

— Pochłoń mnie, ziemio!... Przeklęty dzień, w którym ujrzałem światło, i noc, w której powiedziano: „Narodził się człowiek“... W płaszczu sprawiedliwości nie ma nawet skrawka dla niewolników... I sami bogowie nie spojrzą na taki twór, który ma ręce do pracy, głowę tylko do płaczu, a grzbiet do kijów... O śmierci, zetrzyj moje ciało na popiół, ażebym jeszcze i tam, na polach Ozyrysa ²⁾, po raz drugi nie urodził się niewolnikiem...

Pieśń wojownika egipskiego

Bolesław Prus: *Faraon*

Bicie kijem, jak pisze Prus, było rozpowszechnione w szczęśliwym państwie faraonów, jak jedzenie i spanie. Bito dzieci i dorosłych, chłopów, rzemieślników, żołnierzy, oficerów i urzędników. Kto żył, dostawał kije, z wyjątkiem kapłanów i najwyższych dostojników, bo tych już nie miał kto bić.

Poniżej przytaczamy autentyczną, podaną przez Prusa w *Faraonie* pieśń obitego egipskiego niewolnika:

„Z jakiejże to racji mówisz, że lepiej być oficerem aniżeli pisarzem? Przyjdź i patrz na moje sine pręgi i popękane ciało,

²⁾ W przyszłym życiu

a ja ci opowiem przez ten czas dzieje udręczonego oficera.

„Jeszcze byłem chłopcem, kiedy przyniesiono mnie do koszar. Na śniadanie dostawałem pięścią w brzuch, aż mnie mdliło, na obiad kułak w oczy, aż mi się gęba rozdziawiała, a ku wieczorowi miałem już głowę okrytą ranami i prawie rozszczepioną.

„Chodź, niech ci opowiem, jak odbyłem podróż do Syrii. Jedzenie i picie musiałem dźwigać w ręku, objuczony jak osioł. Szyję miałem zesztyniałą jak szyja osła, a kręgi pacierzowe spękane. Piłem zgniłą wodę, a wobec wroga byłem jak złapany ptak.

„Wróciłem do Egiptu, ale tu jestem jak drzewo, które robak toczy. Za byle co kładą mnie na ziemi i biją jak w książkę, tak że od kijów jestem prawie połamany. Jestem chory i muszę się kłaść, muszą mnie wozić na wozie, a tymczasem służący kradnie mi płaszcz i ucieka...

„Dlatego, o pisarzu, zmień swoje zdanie o szczęściu oficera.“

Ta pieśń pełna łez przetrwała państwo egipskie.

Kapłan egipski w walce z faraonem

Bolesław Prus: *Faraon*

Dnia 20 *paofi*¹⁾ miasto Memfis w Egipcie wyglądało jakby podczas uroczystego święta. Ustały wszelkie zajęcia, nawet tragarze nie nosili ciężarów. Cały lud wysypał się na place i ulice lub skupiał dokoła świątyń, głównie około bożnicy Ptah²⁾, która była najwarowniejsza i gdzie zebrali się dostojnicy duchowni i świeccy pod przewodnictwem kapłanów Herhora i Mefresa.

W pobliżu świątyń stały wojska w luźnym szyku, aby żołnierze mogli porozumiewać się z ludem. Między pospólstwem

1) Nazwa miesiąca

2) Ptah czczony był jako bóg artystów, który stworzył świat

i między wojskiem kręciło się mnóstwo agentów. Jedni dowodzili słuchaczom, że kapłani buntują się przeciw panu, a nawet chcą go otruć za to, że obiecał ludowi siódmy dzień odpoczynku, inni szeptali, że faraon oszalał i sprzysiągł się z cudzoziemcami na zgubę świątyń i Egiptu. Tamci zachęcali lud, aby napadł świątynie, gdzie kapłani radzą nad uciemieniem rzemieślników i chłopów. Ci wyrażali obawy, że gdyby świątynie napadnięto, mogłoby się zdarzyć wielkie nieszczęście...

Mimo to, nie wiadomo skąd, pod murem świątyni Ptah znalazło się kilka potężnych belek i stosy kamieni.

Tłum pod wpływem krzyku agitatorów i wina rozdawanego darmo wahał się..., chłopci obzierali się na rzemieślników, rzemieślnicy na chłopów, a wszyscy oczekiwali czegoś.

Nagle około pierwszej w południe z bocznych ulic wylała się ku świątyni Ptah pijana banda zbrojna w topory i drągi. Byli to rybacy, greccy majtkowie, pastusi, włóczęgi, nawet więźniowie z kopalni. Na czele bandy szedł robotnik olbrzymiego wzrostu, z pochodnią. Stał przed bramą świątyni i ogromnym głosem począł wołać do ludu:

— A wiecie wy, prawowierni, nad czym tu radzą arcykapłani? Oto chcą zmusić jego świątobliwość Ramzesa³⁾, ażeby robotnikom odjął po placku jęczmiennym na dzień, a chłopów obłożył nowym podatkiem, po drachmie od każdej głowy...

Dlatego mówię wam, że popełniacie głupstwo i nikczemość stojąc tu z założonymi rękami!... Trzeba nareszcie wyłapać świątyniowych szczurów i oddać w ręce faraonowi, panu naszemu, na którego krzywdę zmawiają się bezbożnicy!... Bo gdyby władca nasz musiał ulec radzie kapłańskiej, któż wtedy ujmie się za uczciwym ludem?...

— Prawdę mówi!.. — odezwano się w tłumie.

— Pan każe dać nam siódmy dzień wypoczynku...

— I obdarzy nas ziemią...

³⁾ faraona

— Dalejże na kapłanów! ...

— Hej wy! — krzyknął olbrzym pod bramą świątyni ... — Otwórzcie nam dobrowolnie, abyśmy się przekonali, nad czym radzą arcykapłani.

— Otwórzcie! ... bo wywalimy bramę!

— Dziwna rzecz — mówiono z daleka — ptaki kładą się spać ... A przecież to dopiero południe ...

— Dzieje się coś niedobrego w powietrzu! ...

— Bogowie! już noc nadchodzi, a ja jeszcze nie narwałam sałaty na obiad ... — dziwiła się jakaś dziewczyna.

Lecz uwagi te zagłuszył wrzask pijanej bandy i łoskot belek uderzających w miedzianą bramę świątyni.

Gdyby tłum mniej był zajęty gwałtami napastników, już spostrzegłby, że w naturze zachodzi jakieś niezwykle zjawisko. Słońce świeciło, na niebie nie było ani jednej chmurki, a mimo to jasność dzienna poczęła się zmniejszać i powiał chłód.

— Dajcie tu jeszcze jedną belkę! ... — wołali napastnicy na świątynię. — Brama ustępuje!

— Mocno! Jeszcze raz! ...

Przyglądający się tłum huczał jak burza ...

Tu i ówdzie zaczęły odrywać się od niego małe grupy i łączyć się z napastnikami. Wreszcie cała masa ludu zwolna podsunęła się ku świątyni.

Na dworze pomimo południa wzrastał mrok; w ogrodach świątyni zaczęły pisać koguty. Ale wściekłość tłumy była tak wielka, że mało kto dostrzegł te zmiany.

— Patrzcie! — wołał jakiś żebrak — oto zbliża się dzień sądu ... Bogowie widzą ...

Chciał mówić dalej, lecz uderzony kijem w głowę, padł na miejscu.

Na mury świątyni poczęły wdzierać się nagie, lecz uzbrojone postacie. Oficerowie wezwali żołnierzy pod broń pewni, że niebawem trzeba będzie wesprzeć atak pospólstwa.

— Co to znaczy ... — szeptali żołnierze przypatrując się niebu.

— Nie ma chmur, a jednak świat wygląda jak podczas burzy? ...

— Bij! ... łam ... — krzyczano pod świątynią.

Łoskot belek odzywał się coraz częściej.

W tej chwili na tarasie stojącym nad bramą ukazał się arcykapłan Herhor otoczony orszakiem kapłanów i dygnitarzy świeckich. Herhor wznosił do góry obie ręce. A gdy tłum znowu ucichnął, zawołał silnym głosem:

— Bogowie! pod waszą opiekę oddaję święte przybytki, przeciw którym występują zdrajcy i bluźniercy.

W chwilę później gdzieś nad świątynią rozległ się głos nadludzki:

— Odwracam oblicze moje od przekłętogo ludu i piech na ziemię spadnie ciemność.

I stała się rzecz okropna: w miarę jak głos mówił, słońce traciło blask! ... A wraz z ostatnim słowem zrobiło się ciemno jak w nocy. Na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, a zamiast słońca stał czarny krąg otoczony obręczką promieni ...

Niezmierny krzyk wydarł się ze stu tysięcy piersi. Szturmujący do bramy rzucili belki, chłopci upadli na ziemię ...

— Oto nadszedł dzień sądu i śmierci! — zawołał jękliwy głos w końcu ulicy.

— Bogowie, litości ... święty mężu, odwróć klęskę! — zawołał tłum.

— Biada wojskom, które spełniają rozkazy bezbożnych naczelników! ... — zawołał wielki głos ze świątyni.

W odpowiedzi już cały lud upadł na twarz, a w dwu pułkach stojących przed świątynią powstało zamieszanie.

Szeregi połamały się, żołnierze poczęli rzucać broń i bez pamięci uciekać w stronę rzeki. Jedni pędząc jak ślepi wśród ciemności rozbijali się o ściany domów, inni padali na bruk, deptani na śmierć przez swoich towarzyszy. W ciągu kilku minut zamiast zwartych kolumn wojska leżały na placu porozrzucone włócznie i topory, a przy wejściu do ulic piętrzyły się

stosy rannych i trupów. Żadna przegrana bitwa nie skończyła się podobną klęską.

— Bogowie!... bogowie!... — jęczał i płakał lud — zmiłujcie się nad niewinnymi.

— Ozyrysie ⁴⁾ — zawołał z tarasu Herhor — ulituj się, ukaż oblicze swemu nieszczęśliwemu ludowi...

— Po raz ostatni wysłucham modlitwy moich kapłanów, bom jest miłosierny — odpowiedział nadludzki głos ze świątyni.

I w tejże samej chwili ciemność pierzchnęła, a słońce odzyskało swój blask.

Nowy krzyk, nowy płacz, nowe modlitwy rozległy się między tłumem. Pijani radością, ludzie witali zmartwychwstające słońce. Nieznajomi padali sobie w objęcia, kilka osób zmarło, a wszyscy na klęczkach pełzali do świątyni, aby całować jej błogosławione mury.

Na szczycie bramy stał najdostojniejszy Herhor zapatrzony w niebo, a dwaj kapłani podtrzymywali jego święte ręce, którymi rozpędził ciemność i uratował lud swój od zagłady.

Takie same sceny, z pewnymi odmianami, odbyły się w całym Dolnym Egipcie.

W każdym mieście lud od rana zbierał się pod świątyniami, około południa jakaś banda szturmowała do bramy świętej.

Wszędzie nad bramą około pierwszej ukazywał się arcykapłan, przeklinał bezbożników czekając na zjawienie się ciemności. A gdy tłum uciekał w popłochu, arcykapłani modlili się do Ozyrysa, aby ukazał swoje oblicze; tymczasem zaćmienie ustępowało i światłość dzienna wracała na ziemię jakoby pod wpływem ich modłów.

Takimi sposobami mądre a chytre stronnictwo kapłańskie skorzystało z zaćmienia Słońca, by wzmocnić swój wpływ i władzę nad ludem.

⁴⁾ Bóg słońca

NIEWOLNICTWO W RZYMIE

Niewolnicy a wolni proletariusze w Rzymie w II i I wieku przed Chrystusem

Według *Historii Hellady i Rzymu* dra G. F. Hertzberga

Hertzberg — historyk niemiecki z połowy XIX w.

W starożytności, przed narodzeniem Chrystusa i w pierwszych wiekach po Chrystusie, Rzym był państwem obejmującym niemal cały znany w Europie świat ówczesny. Doszedł on do tego stopniowo dzięki bitności swych obywateli, którzy zawojowali najpierw cały Półwysep Apeniński, czyli Italię, a potem wszystkie kraje nad brzegami Morza Śródziemnego.

Najcięższe wojny, tzw. punickie, prowadzili Rzymianie z handlowym narodem Kartagińczyków, którzy byli ich współzawodnikami handlowymi i politycznymi. Trzy wojny punickie skończyły się w roku 146 przed Chrystusem zburzeniem Kartaginy, położonej na północnym wybrzeżu Afryki (w pobliżu dzisiejszego Tunisu).

Z wojen Rzymianie przywozili bogate łupy i niezliczoną ilość niewolników, którzy musieli pracować na swych nowych panów. Niewolnicy rekrutowali się i z ludów stojących niżej od Rzymian pod względem kulturalnym, i z takich, które ich kulturą znacznie przewyższały, jak Grecy.

Rzym wchłaniał kulturę narodów podbitych, stał się stolicą całego ówczesnego świata i wspaniale się przedstawiał, zboga-

cony i ozdobiony łupami z miast greckich. Kolumny marmurowe, pomniki zwycięstw rzymskich, komponowane były przez artystów greckich, którzy, jako niewolnicy, służyli interesom rzymskim. Uczeni greccy byli nauczycielami synów zwycięskich Rzymian.

Obok tych niewolników uczonych, kulturalnych, niewolników zbytku, którzy uczyli swych panów, jak używać świata, byli zwykli robotnicy pochodzący z najróżniejszych stron świata, których zatrudniano przede wszystkim na roli. Bogacze rzymscy prowadzili wówczas w wielkich majątkach ziemskich gospodarkę folwarczną głównie siłami niewolników. Przyłączali oni ziemie drobnych włościan, którzy się obok nich nie mogli utrzymać, obciążeni nadmiernymi podatkami. Sprzedawali więc swą ziemię, stawali się robotnikami rolnymi albo szukali pracy w Rzymie. Wszędzie jednak wypierali ich z pracy niewolnicy, którzy byli znacznie tańsi i wygodniejsi. Łatwiej było na wsi prowadzić gospodarkę przy pomocy skoszarowanych niewolników niż siłami włościan, którzy, jako obywatele Italii, byli powoływani do służby wojskowej. Wobec tego Rzym zapełniał się bezrobotnymi, wolnymi, lecz głodnymi obywatelami, którzy od państwa żądali chleba i igrzysk — *panem et circenses*. Igrzyska cyrkowe, będące walkami dzikich zwierząt i ludzi, podniecały ich krwiożerczość, chleb słabo sycił głód wynędzniałych, wolnych „panów świata“, których liczba zmniejszała się i siła bojowa słabła. Wspaniałe i bogate imperium rzymskie, zalewane przez rzesze nieszczęsnych niewolników zwożonych z całego świata, nie mogło dać ludzkich warunków swoim proletariuszom bezrobotnym, których los stał się jednym z najważniejszych i najtrudniejszych problemów społeczno-ekonomicznych.

W roku 134 przed Chr. w Etrurii np. nie było już wcale włościan. We wszystkich majątkach pracowano siłami niewolników trybem plantacyjnym. Wszędzie panował niesłychany wyzysk, obchodzenie było okrutne, a w dodatku był stale głód. W gospodarstwach skąpych panów przez palce patrzano, a na-

wet wyraźnie zachęcano niewolników do obdzierania podróżnych.

Nic też dziwnego, że tworzyły się w tym czasie, zwłaszcza na południu Italii, straszliwe bandy rozbójników ze zbiegłych niewolników i zbuntowanych proletariuszy. Liczba niewolników rosła wraz z wojnami. Płynęły do Rzymu tłumy jeńców hiszpańskich, afrykańskich i greckich, których aż do „pełnego uspokojenia“ Grecji zwycięzcy rzymscy oddawali w ręce handlarzy niewolnikami. Coraz większe zapotrzebowanie „towaru ludzkiego“ sprawiło, że korsarze i łapacze ludzi ze Wschodu azjatyckiego przywozili nieszczęśnych na olbrzymie targowisko na wyspę Delos. Wreszcie straszliwy system pracowania siłami okrutnie ujarzmionych niewolników zagroził bezpieczeństwu publicznemu Rzymu.

Życie niewolników w państwie rzymskim

Wipper: *Zarys historii Państwa Rzymskiego*, Moskwa 1908

Nigdy praca niewolnicza i handel niewolnikami nie były tak rozwinięte, jak w II i I w. przed Chrystusem, tj. przy końcu republiki rzymskiej i w początkach Cesarstwa. Nigdy też fortuny państwa nie były tak wielkie i zbytek magnatów tak wymyślny. Podajemy obraz pracy niewolniczej z tych czasów według książki prof. Wippera, który korzystał z prac pisarzy rzymskich: Warrona (I w. przed Chrystusem) i Columelli (z I w. po Chrystusie).

Epoka najtańszych rąk niewolniczych była równocześnie okresem największej rozbudowy magnackich majątków ziemskich. Na plantacjach i w gospodarstwach hodowlanych wypracowywano warunki pracy niewolników, regulaminy, które wywoływały straszne bunty masowe. Zasady obchodzenia się z niewolnikami robią wrażenie prawa wojennego, które dąży do wyzyskania każdej chwili i wszystkich sił niewolnika. Główny nadzorca, wybierany spośród niewolników, musi wszystko, widzieć: wówczas podlegli mu nadzorcy będą dobrze spełniać swe

obowiązki, a robotnicy będą myśleli nie o przyjemnościach, lecz jedynie o pracy, o odpoczynku zaś tylko we śnie. Warron w gospodarstwie rozróżnia trzy rodzaje narzędzi: nieme — wozy, obdarzone głosem — bydło i obdarzone mową — niewolnicy. Aby ludzie pracowali katorżnie i bez końca, zamykano wszystkie bramy w majątku, odcinano ludzi od światła. Nad bramą główną z wieżyczką Warron radzi zrobić mieszkanie głównego nadzorcy, żeby widział wchodzących i wychodzących. Doszły do nas rysunki przedstawiające długie budynki piętrowe z basztami z obu stron. Do baszt przylegają niskie budynki dla służby. Nad chlewem jest napis: miejsce dla pastucha. Jest to zgodne z tą radą Columelli: pastuch powinien mieszkać koło bydła, aby był pod ręką. Niewiele miejsca przeznaczano dla każdego niewolnika. Wszyscy muszą być blisko siebie, aby dozorca nie tracił czasu na chodzenie.

Niewolnicy dzielili się na takich, którzy pracowali swobodnie, i na zakutych w kajdany; tak np. przy wyrobie wina, gdzie potrzebni byli ludzie młodzi i silni, pracowali nieraz w kajdanach zbrodniarze osądzeni i odbywający w ten sposób katorgę. Często znów w kajdany zakuwano ludzi schwytanych na drodze przez bandy właściciela majątku. Za cesarza Tyberiusza specjalne komisje zwiedzały majątki prywatne i uwalniały tych, którzy nieprawnie się tam znaleźli.

Skuci niewolnicy mieszkali w podziemnych wężeniach — piwnicach z wąskimi oknami tak wysoko umieszczonymi, że ręką nie można było do nich dostać. Dzielono ich, według rodzaju pracy, na dziesiątki dla łatwiejszego nadzoru. Rano pod dowództwem nadzorców (*monitor*) z biczami i pałkami ostro zakończonymi niewolnicy wychodzili do roboty. Żona głównego nadzorcy gotowała im jedzenie i zajmowała się chorymi.

Magnaci prowadzili wspaniałe domy. Otaczali się przepychem i trzymali masę niewolników nie tylko dla obsługi, ale i dla podniesienia wspaniałości dworu. Niewolnicy ci tworzyli całe oddziały, które można było organizować wojskowo i korzystać z nich w rozgrywkach politycznych.

Gospodarstwa niewolnicze w starożytnym państwie rzymskim

Edward Abramowski: *Feudalizm*

Edward Abramowski — (1868—1918) socjolog, psycholog, spółdzielca i działacz społeczny. Autor wielu prac socjologicznych i psychologicznych. Od r. 1915 profesor psychologii na Uniwersytecie Warszawskim.

Wielkie gospodarstwa niewolnicze w pierwszych wiekach po Chr., zarówno w Italii, jak i w krajach zdobytych przez Rzymian, a więc w Europie, przede wszystkim w Galii¹⁾, obejmowały tzw. *villa rustica* — dom pana, stodoły, młyn, warsztaty, koszary dla niewolników; stajnie, ogród, naokoło ziemie orne, winnice, dalej pastwiska i las. Gospodarstwo to, *ojkos*, prowadzone zbiorową pracą niewolników w formie wielkiej produkcji, stanowi jednostkę wytwórczą. Łączy ono bowiem uzyskanie surowych materiałów, przerabianie ich i transport. Jeden i ten sam właściciel po przygotowaniu surowego materiału przez jedną grupę niewolników oddawał go do przerobienia drugiej grupie. Trzecia zajmowała się transportem, jeżeli produkt przeznaczony był na sprzedaż.

Cały personel niewolniczy takiego majątku, zwany *familia*, dzielił się na *familia rustica* — niewolników zajętych przy produkcji, i *familia urbana* — niewolników zajętych służbą osobistą koło pana jak lokaje, kucharze, furmani, myśliwi, posłańcy, sekretarze, kopiści.

Familia rustica dzieliła się na dwie grupy. Pierwsza — byli to niewolnicy rolni, którzy pracowali koło uprawy ziemi. Uprawa latyfundium, tj. majątku mającego np. 3 000 magdeburskich morgów (około 6 000 polskich morgów = 200 włók), wymagała 120 niewolników, a jeśli była uprawa winogrodu, to 210—375 niewolników. Oni także zajmowali się hodowlą bydła: krów, koni, owiec i kóz, które liczono na tysiące. Grupa

1) Obecnej Francji

niewolników wykonywała pracę zbiorowo pod dozorem nadzorców, z kajdanami na nogach i rękach. Podzieleni byli na brygady (*decurie*); każdą dozorował jeden *monitor*.

Drugą grupę stanowili niewolnicy - rzemieślnicy i w ogóle przerabiający surowe materiały. Każdy fach miał swego dozorcę — *magister operum*. Pracowali w zbiorowych warsztatach pod dozorem. Cały personel niewolniczy miał urzędnika do rozdzielania jadła i innych rzeczy oraz urzędnika do prowadzenia rachunków. Nad wszystkimi stał *villicus* — niewolnik, jak tamci — oko i ręka pana. Kieruje on robotami, wydaje rozkazy, karze za niedbalstwo. Dozorcy byli to najwięksi tyrani, którzy znęcali się nad niewolnikami — karami i biciem. Często piętnowani, np. robotnicy broni, niewolnicy fachu zmieniać nie mogli.

Tym sposobem *ojkos* wystarczał sobie zupełnie. Był zamkniętym organizmem wytwórczym. Własność ziemska i rzemieślnicza, funkcja wytwórcza i handlowa skupiały się w jednym ręku właściciela *ojkosu*.

Niewolnicy zbytku

Henryk Sienkiewicz: *Quo vadis*

Henryk Sienkiewicz — (1843—1916) znany autor świetnych powieści z dziejów Polski (*Trylogia*, *Krzyżacy*), laureat Nobla, napisał w r. 1895 powieść historyczną *Quo vadis* na tle prześladowania chrześcijan w Rzymie w I wieku po Chrystusie, za cesarza Nerona. Niewolnicy wówczas masowo przyjmowali chrześcijaństwo, które uznawało ich człowieczeństwo. Stąd w *Quo vadis* występują niewolnicy. Są tam obrazy ówczesnych Rzymian i ich niewolników zbytku.

Petroniusz obudził się zaledwie koło południa i, jak zwykle, zmęczony bardzo. Poprzedniego dnia był na uczcie u Nerona ¹⁾, która przeciągnęła się do późna w noc. Od pewnego

¹⁾ Cesarz rzymski w I w. po Chrystusie

czasu zdrowie jego zaczęło się psuć. Sam mówił, że rankami budzi się jakby zdrętwiały i bez możliwości zebrania myśli. Ale poranna kąpiel i staranne wygniatanie ciała przez wprawionych do tego niewolników przyśpieszało stopniowo obieg jego leniwej krwi, rozbudzało go, cucilo, wracało mu siły tak, że z *oleotekium*, to jest z ostatniego kąpielowego przedziału, wychodził jeszcze jakby wskrzeszony, z oczyma błyszczącymi dowcipem i wesołością, odmłodzony, pełen życia, wykwintny — i prawdziwy, jak go nazywano: *arbiter elegantiarum* ²⁾).

W łaźniach publicznych bywał rzadko: chyba że zdarzył się jakiś budzący podziw *retor* ³⁾, o którym mówiono w mieście, lub gdy w *efebiach* ⁴⁾ odbywały się wyjątkowo zajmujące zapy. Zresztą miał w swej *insuli* ⁵⁾ własne kąpiele urządzone z tak nadzwyczajnym smakiem, iż sam Nero przyznawał im wyższość nad cezariańskimi ⁶⁾, chociaż cezariańskie były obszerniejsze i urządzone z nierównie większym przepychem.

Po owej więc uczcie wstawszy późno zażywał, jak zwykle, kąpieeli. Dwaj ogromni *balneatorzy* ⁷⁾ złożyli go właśnie na cyprysowej *mensie* ⁸⁾, pokrytej śnieżnym egipskim *byssem* ⁹⁾ — i dłońmi maczanymi w wonnej oliwie poczęli nacierać jego kształtne ciało — on zaś z zamkniętymi oczyma czekał aż ciepło *laconicum* ¹⁰⁾ i ciepło ich rąk przejdzie w niego i usunie zeń znużenie.

Lecz po pewnym czasie przemówił — i otworzywszy oczy jał rozpytywać o pogodę, gdy wtem spoza kotary wychylił się

2) Znawca elegancji

3) Mówca

4) Wśród młodzieży

5) W willi — w pałacu

6) Cezarskimi

7) Kąpielowi

8) Na cyprysowym stole

9) Tkanina służąca za prześcieradło

10) Pokój przeznaczony na kąpiel parową

nomenclator ¹¹⁾) oznajmiając, że młody Markus Winicjusz, przybyły świeżo z Azji Mniejszej, przyszedł go odwiedzić.

Petroniusz kazał wpuścić gościa do *tepidarium* ¹²⁾), dokąd i sam się przeniósł. Winicjusz był synem jego siostry i Petroniusz miał dla niego pewną słabość graniczącą z przywiązaniem, albowiem Markus był pięknym i atletycznym młodzieńcem, a zarazem umiał zachować pewną artystyczną miarę w zepsuciu, co Petroniusz cenił nad wszystko.

— Pozdrowienie Petroniuszowi — rzekł młody człowiek wchodząc sprężystym krokiem do *tepidarium* — niech wszyscy bogowie darzą cię pomyślnością.

— Witaj w Rzymie i niech ci spoczynek będzie słodki po wojnie — odrzekł Petroniusz wyciągając rękę spomiędzy fałd miękkiej karbasowej tkaniny, w którą był owinięty. — Co słyszeć w Armenii? ¹³⁾

Winicjusz począł opowiadać o wojnie, lecz gdy Petroniusz przymknął powieki, młody człowiek, widząc jego znużoną i nieco wychudłą twarz, zmienił przedmiot rozmowy i jął wypytywać go z pewną troskliwością o zdrowie.

Petroniusz otworzył znów oczy.

Zdrowie... Nie. On nie czuł się zdrów. Nie doszedł jeszcze wprawdzie do tego, do czego doszedł młody Syssena, który stracił do tego stopnia czucie, że gdy go przynoszono rano do łaźni, pytał: „czy ja siedzę?” Ale nie był zdrów.

W tej chwili weszli *epilatorowie* ¹⁴⁾), którzy zajęli się Petroniuszem, Markus zaś zrzuciwszy tunikę ¹⁵⁾) wstąpił do wanny z letnią wodą, albowiem Petroniusz zaprosił go do kąpieli.

Młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem i począł zanurzać się w wannie wychlustując przy tym obficie ciepłą wodę

¹¹⁾ Oznajmiacz

¹²⁾ Ogrzane pomieszczenie

¹³⁾ Kraj w południowo-zachodniej Azji, za Kaukazem

¹⁴⁾ Wyrrywający włosy

¹⁵⁾ Krótka suknia noszona pod togą

na mozaikę. Petroniusz patrzył na niego zadowolonym okiem artysty.

Lecz gdy skończył i oddał się z kolei *epilatorom* wszedł lektor z puszką brązową na brzuchu i zwojami papieru w puszcze.

— Czy chcesz posłuchać? — spytał Petroniusz.

— Jeśli to twój utwór, chętnie! — odpowiedział Winicjusz — ale jeśli nie, wolę rozmawiać. Poeci łapią dziś ludzi na wszystkich rogach ulic.

— Przejdźmy do *frigidarium* ¹⁶⁾, gdzie wychłodniemy.

Przeszli do *frigidarium*, na środku którego była fontanna zabarwiona na kolor jasnoróżowy i roznosząca woń fiołków. Tam siadłszy w niszach wysłanych jedwabiem poczęli się ochładzać. Przez chwilę panowało milczenie. Winicjusz patrzył czas jakiś na brązowego fauna ¹⁷⁾, który przegiąwszy sobie przez ramię nimfę ¹⁸⁾ szukał chciwie ustami jej ust, po czym rzekł:

— Ten ma słuszość. Oto, co jest w życiu najlepsze.

W *unktuarium* ¹⁹⁾ uwaga Winicjusza zwróciła się na co innego, mianowicie na piękne niewolnice, które czekały tam na kąpiących się. Dwie z nich, Murzynki, podobne do wspaniałych posągów z hebanu, poczęły masć ich ciała delikatnymi woniami Arabii, inne, biegłe w czesaniu Frygijki, trzymały w rękach, miękkich i giętkich jak węże, polerowane stalowe zwierciadła i grzebienie, dwie zaś, wprost do bóstw podobne greckie dziewczyny z Kos, czekały jako *vestiplicae* ²⁰⁾, aż przyjdzie chwila posągowego układania fałd na togach ²¹⁾ panów.

— Na Zeusa Chmurozbiórcę! — rzekł Markus Winicjusz — jaki ty masz u siebie wybór!

16) Pokój przeznaczony do ochładzania się

17) Bożek leśny

18) Leśna boginka

19) Pokój do namaszczenia

20) Układające fałdy togi

21) Płaszcz wierzchni z wielkiego kawała materii

— Wolę wybór niż liczbę — odpowiedział Petroniusz. — Cała moja *familia*²²⁾ w Rzymie nie przenosi czterystu głów i sądzę, że do osobistej posługi chyba dorobkiewiczze potrzebują większej ilości ludzi.

— Piękniejszych ciał nawet i Miedzianobrody²³⁾ nie posiada — mówił rozdymając nozdrza Winicjusz.

Pan życia i śmierci

Henryk Sienkiewicz: *Quo vadis*

Dom Winicjusza oczekującego na przybycie ukochanej Ligii przybrany był w zieleń mirtową i bluszcze, z których poczyniono upięcia na ścianach i nad drzwiami. Kolumny okręcono zwojami winogrodu. W *atrium*¹⁾, nad którego otworem rozciągnięto dla ochrony od nocnego chłodu wełnianą purpurową zasłonę, widno było jak w dzień. Płonęły ośmio- i dwunastopłomienne kaganki mające kształt naczyń, drzew, zwierząt, ptaków lub posągów trzymających lampy napełnione wonną oliwą, wykutych z alabastru, z marmuru, ze złoconej miedzi korynckiej. Niektóre poosłaniane były aleksandryjskim szkłem lub przezroczystymi tkaninami znad Indu, barwy czerwonej, błękitnej, żółtej, fioletowej, tak że całe atrium pełne było różnokolorowych promieni. Wszędy rozchodziła się woń nardu²⁾, do której Winicjusz przywykł i którą polubił na Wschodzie. Głęb domu, w której snuły się żeńskie i męskie postacie niewolników, jaśniała także światłem.

Serce biło Winicjuszowi niespokojnie pod wzorzystą szatą syryjskiego kapłana, w którą się przybrał na przyjęcie Ligii.

— Już powinni byli wyjść z pałacu — rzekł, jakby mówiąc sam do siebie.

²²⁾ Niewolnicy zatrudnieni w domu rzymskiego patrycjusza

²³⁾ Cesarz Neron

¹⁾ Centralna część domu rzymskiego

²⁾ Olejek pachnący

— Już skręcają ku Karynom — rzekł po chwili.

Oni zaś rzeczywiście skręcali ku Karynom. Niewolnicy, zwani *lampardii*, szli na przedzie, inni, zwani *pedisequi*, po obu bokach lektyki, Atacynus zaś tuż za nią, czuwając nad pochodem.

Lecz posuwali się zwolna, bo latarnie w mieście wcale nie oświetlonym źle rozjaśniały drogę. Przy tym ulice w pobliżu pałacu puste, zaledwie gdzieś tam jakiś człowiek przesuwiał się z latarką, ale dalej niezwykle ożywione. Z każdego prawie zaułku wychodzili ludzie, po trzech, po czterech, wszyscy bez pochodni, wszyscy w ciemnych płaszczach. Niektórzy szli razem z pochodem mieszając się z niewolnikami, inni w większych gromadach zachodzili z naprzeciwka. Niektórzy taczali się jak pijani. Chwilami pochód stawał się tak trudny, że *lampardii*, poczęli wołać:

— Miejsce dla szlachetnego trybuna Marka Winicjusza!

Ligia widziała przez rozsunięte firanki te ciemne gromady i poczęła dygotać ze wzruszenia. Porywała ją na przemian to nadzieja, to trwoga. „To oni, to chrześcijanie”. „To stanie się już zaraz!” — mówiła drżącymi ustami — „O, Chryste, pomagaj! O, Chryste, ratuj!”

Nagle krzyk uczynił się na przodzie pochodu. W jednej chwili pogasły wszystkie światła. Koło lektyki uczynił się tłok, zamieszanie i bitwa.

Atacynus zrozumiał: był to wprost napad.

I zrozumiawszy struchlał. Błysnęła mu myśl, że należy przede wszystkim ocalić Ligię i siebie, a resztę zostawić losowi. Jakoż wyciągnąwszy ją z lektyki porwał na ręce i usiłował się wymknąć w ciemności.

Naraz straszliwe cęgi chwyciły jego kark, a na głowę spadła mu jak kłameń olbrzymia, druzgocąca masa.

On zaś padł w jednej chwili jak wół uderzony obuchem przed ołtarzem Jowisza.

Niewolnicy leżeli po większej części na ziemi lub ratowali się rozbijając się wśród grubych ciemności o załomy murów.

Na miejscu pozostała tylko podruzgotana w zamieszaniu lektyka.

Lecz niewolnicy poczęli się zbierać przed domem Winicjusza i naradzać. Nie śmieli wejść. Po krótkiej naradzie wrócili na miejsce spotkania, na którym znaleźli kilka ciał martwych, a między nimi ciało Atacyna. Ten drgał jeszcze, lecz po chwilowej silniejszej konwulsji wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Wówczas zabrali go i wróciwszy zatrzymali się znów przed bramą. Trzeba było jednak oznajmić panu, co się stało.

— Gulo niech oznajmi — poczęło szeptać kilka głosów — krew mu płynie z twarzy jak i nam i pan go kocha. Gulowi bezpieczniej od innych.

A Germanin Gulo, stary niewolnik, który niegdyś wyniańczył Winicjusza, rzekł:

— Ja oznajmię, ale pójdźmy wszyscy. Niech na mnie jednego nie spada jego gniew.

Winicjusz zaś począł się już niecierpliwić zupełnie. Chodził szybkim krokiem po *atrium* powtarzając:

— Już powinni być!... Już powinni być!...

Lecz nagle w przedsionku dały się słyszeć kroki i do *atrium* wpadli hurmem niewolnicy, a stanawszy szybko pod ścianą, podnieśli ręce w górę i poczęli powtarzać jęklivymi głosami:

— Aaaa!... aa!

Winicjusz skoczył ku nim:

— Gdzie Ligia? — zawołał strasznym, zmienionym głosem.

— Aaaa!!!...

Wtem Gulo wysunął się naprzód ze swoją pokrwawioną twarzą, wołając z pośpiechem i żałością:

— Oto krew, panie! broniliśmy! oto krew, panie! oto krew!...

Lecz nie zdołał dokończyć, gdyż Winicjusz chwycił brązowy świecznik i jednym uderzeniem strzaskał czerep niewol-

nika, po czym ująwszy się za głowę rękoma, wpił palce we włosy powtarzając chrapliwie:

— *Me miserum! Me miserum! . . .*³⁾

Twarz mu posiniała, oczy uciekły pod czoło, piana wystąpiła na usta.

— Rózeg! — ryknął wreszcie niehumanym głosem.

— Panie! Aaaa! . . . ulituj się! — jęczeli niewolnicy.

I w całym domu ubranym w zieleń bluszców i gotowym do uczty rozległy się po chwili jęki i świst różeg, który trwał niemal do rana.

Piękna niewolnica

Henryk Sienkiewicz: *Quo vadis*

Petroniusz i Winicjusz przeszli do wewnętrznego portyku i tam zasiadłszy na marmurowej ławie poczęli rozmawiać.

Złotowłosa Eunice i Iras podsunęły im pod nogi brązowe stołeczki, a następnie przystawiwszy do ławki stolik poczęły im lać wino do czasz z cudnych wąskoszyjastych dzbanków, które sprowadzano z Cecyny¹⁾.

Petroniusz spojrzał na Winicjusza z pewnym politowaniem. Istotnie oczy Winicjusza podsiniały, źrenice świeciły gorączką; nie ogolony rano zarost powlókł ciemnym pasem jego silnie zarysowane szczęki, włosy miał w nieładzie i wyglądał naprawdę jak chory. Iras i złotowłosa Eunice patrzyły na niego także ze współczuciem, lecz on zdawał się ich nie widzieć i obaj z Petroniuszem tak nic nie zważali na obecność niewolnic, jakby nie zważali na kręcące się koło nich psy.

— Gorączka cię trawi — rzekł Petroniusz.

— Tak jest.

— Więc posłuchaj mnie . . . Nie wiem, co by ci zapisał lekarz, ale wiem, jak ja bym postąpił na twoim miejscu. Oto

3) Ja nieszczęsny!

1) Góra w Rumunii

zanim się tamta odnajdzie, poszukałbym w innej tego, czego mi wraz z tamtą zabrakło. Widziałem w twojej willi ciała wyborne. Nie przecz mi... Wiem, co to jest miłość, i wiem, że gdy się jednej pożąda, inna jej zastąpić nie może. Ale w pięknej niewolnicy można zawsze znaleźć chociaż chwilową rozrywkę...

— Nie chcę! — odpowiedział Winicjusz.

Lecz Petroniusz, który miał do niego rzeczywistą słabość i który pragnął istotnie złagodzić jego cierpienie, począł rozmyślać, jakby to uczynić.

— Może twoje nie mają dla ciebie uroku nowości — rzekł po chwili — lecz (i tu jął patrzeć kolejno na Iras i na Eunice, a wreszcie położył dłoń na biodrze złotowłosej Greczynki) przypatrz się tej *charytce*²⁾. Kilka dni temu młodszy Fontejus Kapiton dawał mi za nią troje cudnych pacholąt z Klazomene, albowiem piękniejszego ciała chyba i Skopas³⁾ nie stworzył. Sam nie wiem, dlaczego dotąd pozostałem dla niej obojętny... Otóż daruję ci ją, weź ją sobie!

A złotowłosa Eunice, usłyszawszy to poblądła w jednej chwili jak płótno i patrząc przestraszonymi oczyma na Winicjusza zdawała się bez tchu w piersi czekać na jego odpowiedź.

Lecz on zerwał się nagle i ścisnąwszy rękoma skronie począł mówić prędko jak człowiek, który, trawiony chorobą, nie chce słyszeć o niczym:

— Nie! nie!... Nic mi po niej, nic mi po innych... Dziękuję ci, ale nie chcę! Idę szukać tamtej po mieście.

I wyszedł śpiesznie. Petroniusz zaś widząc, że istotnie nie może usiedzieć na miejscu, nie próbował go wstrzymywać. Biorąc jednak odmowę Winicjusza za chwilową niechęć do każdej

2) Charytki albo gracje — były to 3 córki boga Zeusa, znane z piękności.

3) Rzeźbiarz grecki z V w. przed Chrystusem

kobiety, która nie była Ligią, i nie chcąc, by wspaniałomyślność jego poszła na marne, zwróciwszy się do niewolnicy rzekł:

— Eunice, wykąpiesz się, namaścisz i przybierzesz, a potem pójdziesz do domu Winicjusza.

Lecz ona padła przed nim na kolana i ze złożonymi rękoma poczęła go błagać, by jej nie oddalał z domu. Ona nie pójdzie do Winicjusza i woli tu nosić drwa do *hypokaustum*⁴⁾, niż tam być pierwszą ze sług. Nie chce! Nie może! i błaga go, by zlitował się nad nią! Niechaj ją każe chłostać codziennie, byle jej nie wysyłał z domu.

I trzęsąc się jak liść, zarazem z bojaźni i uniesienia, wyciągała ku niemu ręce, on zaś słuchał jej ze zdumieniem. Niewolnica, która śmie się wypraszać od spełnienia rozkazu, która mówi: „nie chcę” i „nie mogę“, była czymś tak niesłychanym w Rzymie, że Petroniusz na razie nie chciał uszom wierzyć. Wreszcie zmarszczył brwi. Był on zbyt wykwinłym, by być okrutnym. Niewolnikom jego, zwłaszcza w zakresie rozpusty, więcej było wolno niż innym, pod warunkiem, by wzorowo spełniali służbę i wolę pańską czcili na równi z bożą. W razie uchybienia tym dwom obowiązkom umiał jednak nie żałować kar, jakim, wedle ogólnego obyczaju, podlegali. A gdy prócz tego nie cierpiał wszelkich przeciwności i wszystkiego, co mu mieszało spokój, więc popatrzywszy chwilę na klęczącą rzekł:

— Przywołasz mi Tejrezjasza i powrócisz tu z nim razem.

Eunice wstała drżąc, ze łzami w oczach i odeszła, po chwili zaś wróciła z przełożonym nad *atrium*, Kreteńczykiem Tejrezjaszem.

— Weźmiesz Eunice — rzekł mu Petroniusz — i dasz jej dwadzieścia pięć plag, tak jednak, by nie popsuć skóry.

To rzekłszy przeszedł do biblioteki i zasiadłszy przy stole z różowego marmuru począł pracować nad swoją *Uczcią Trymalchiona*⁵⁾

4) Starożytne ogrzewanie centralne

5) Utwór literacki Petroniusza

Wojny niewolników w Rzymie

G. F. Hertzberg: *Historia Hellady i Rzymu*

Wielka wojna niewolnicza w II wieku przed Chr., to straszliwe echo ostatnich wojen Rzymu o panowanie nad światem, a zarazem krwawa reakcja stu tysięcy zdeptanych istot przeciwko straszliwemu systemowi ekonomicznemu, wszczała się na wyspie Sycylii, gdzie ilość niewolników rolnych była największa, a obchodzenie się spekulantów rzymskich oraz właścicieli ziemskich sycylijskich z nimi było szczególnie surowe. Tutaj kwitnął obyczaj okropnego skąpstwa i skupiania niewolników w podziemnych „ciemnicach“, wreszcie pracy w kajdanach. Wschód wyspy stał się śpichlerzem Italii, a zwłaszcza Rzymu. Równiny wewnętrzne wyspy oraz południowe pobrzeża służyły więcej za pastwiska, gdzie niewolnicy w nieczny sposób popychani bywali do rozbojów. Miasta kryły w sobie tłumy wolnych proletariuszów.

W okolicach Euny, bogatych w pszenicę, wybuchło powstanie wśród niewolników niejakiego Damofila, który wsławił się szczególnie surowością i okrucieństwem. Właściwym sprawcą rozruchów był Syryjczyk Eunus, niewolnik Antygenesesa, który wśród niewolników uchodził za maga, cudotwórcę i proroka. Mówiono, że ukazała mu się bogini syryjska i przyobiecała godność królewską. Pod jego wodzą 400 niewolników wtargnęło do miasta Euny i zamordowało dotychczasowych swych panów. Przyłączyły się do nich masy niewolników, widocznie już poprzednio zorganizowanych. Tak powstało nowe królestwo. W roku 143 przed Chr. Eunus otrzymał koronę, przyjął imię Antiocha i utworzył radę, której przewodniczył zdolny Grek Achaios, posiadający talent organizacyjny, przezorność i energię. Wkrótce zebrało się 10 tysięcy odważnych ludzi orężnych, którzy walczyli z milicją sycylijską i pretorami rzymskimi.

Rzymianie spostrzegli z przestrawieniem, że płomień strasznego pożaru wszczętego na Sycylii rozszerza się daleko. Aż

do roku 141 szerzyły się bunty niewolników w Italii i trzeba je było uśmierzać orężem. W Minturach ukrzyżowano 450 niewolników, a w Synuesie wycięto w pień około 4 tysięcy. Trudniej było jednak dać sobie radę z powstaniem Antiocha. Cała wyspa dostała się pod panowanie nowego króla, a Rzymianie w końcu z trudem mogli się utrzymać w kącie północno-wschodnim z Messyną. Pożar przeniósł się daleko na wschód poza morze, na targowisko niewolników na wyspie Delos, gdzie jednak prędko rozruchy stłumiono. Dopiero w roku 132, po długim oblężeniu przez regularne wojska, Euna wpadła w ręce Rzymian. Król Antioch umarł w Rzymie jako jeniec, wyspę zaś ostatecznie uspokojono: 20 tysięcy niewolników ukrzyżowano nie licząc tych, którzy zginęli w czasie walk i z nędzy. Mimo to straszliwie zdeptana wyspa Sycylia długo jeszcze po tym była ogniskiem buntów.

*

W I wieku przed Chr., w roku 73, rozgorzał straszliwy bunt niewolników rzymskich, którzy musieli prowadzić najhaniebniejsze rzemiosło i znosić najsroższe obejście, mianowicie gladiatorów¹⁾. Przy wzrastającej skłonności Rzymian do krwawej, obrzydliwej zabawy „igrzysk szermierczych” zakładano po różnych miastach Italii „szkoły”, gdzie kształcono według wszelkich prawideł sztuki olbrzymich gladiatorów, których trzymano w koszarach pod grozą barbarzyńskiej karności. Kapua była główną akademią owych krwawych szermierzy i właśnie tutaj wszczął się rokosz wśród Celtów z Kryksem na czele i Traków, których wodzem był Spartakus. 74 ludzi uciekło z koszar i usadowiło się na Wezuwiuszu; liczba ich szybko wzrastała: przybyli tam niewolnicy, niezadowoleni wygnańcy i proletariusze, a nadto mnóstwo rozbójników. Łupieskie ich wyprawy w Kampanii zmusiły rząd do orężnego wystąpienia, a pierwsza zwycięska potyczka z oddziałem rzymskim podniosła

¹⁾ Gladiatorzy — zapaśnicy cyrkowi w starożytnym Rzymie

sprawę niewolników do tego stopnia, iż musiały wyruszyć przeciwko nim dwa legiony pod wodzą Publiusza Waryniusza, który jednak nie zdołał przeszkodzić pochodowi powstańców do Lukanii. Całe Brucium, Lukania i Kampania dostały się w ręce powstańców, którzy straszliwie spustoszyli wiele miast. Jasna rzecz, iż wojnę, jak zazwyczaj w podobnych wypadkach, prowadzono w okropny sposób. Spartak, osobiście człowiek szlachetny, wódz 'rozważny i dzielny, nie mógł powstrzymać tłumów swoich od straszliwej pomsty na Rzymianach za dawne i świeże krzywdy, od zabijania jeńców w zamian za krzyżowanie pojmanych rokoszan. Jeńców rzymskich nierzadko zmuszano do walk gladiatorских, które się kończyły ich śmiercią.

W przeciągu roku 72 przed Chr., gdy Rzymianie szczęśliwie walczyli w Hiszpanii i Azji, nie udawało im się stawić czoła Spartakowi, który powziął myśl przejścia przez półwysep z południa na północ, aby tłumom swym otworzyć drogę od Alp do rodzinnych krajów. Przeszedł on Apeniny i po krwawych bitwach otworzył drogę Celtom, Teutonom i Cymbrom do ojczyzny. Ale wyzwoleni niewolnicy nie skorzystali z tego. Dopiero nowy wódz rzymski Marek Krassus wpędził hufce Spartaka na południowy kraniec Italii i po walnej bitwie w Apulii, zakończonej śmiercią Spartaka i porażką jego wojska, zakończył wojnę niewolników. Przerażające barbarzyństwo owej wojny odbiło się w tym, że Rzymianie kazali 6 000 jeńców ukrzyżować długim rzędem przy drodze z Kapui do Rzymu. Szczątki hufców powstańczych wycinano w pień. Mimo to jeszcze w roku 71 przed Chr. trzymało się 5 000 wojowników z drużyn Spartaka, których ostatecznie wybił Pompejusz.

JASYR TATARSKI I TURECKI

Powieść o niewoli na Wschodzie

K. Szajnocha: *Szkice*

Karol Szajnocha, historyk polski (1818—1868), jest autorem *Szkiców historycznych*, barwnych obrazków z przeszłości polskiej, pisanych pięknie a równocześnie naukowo, z których jeden podajemy w skróceniu. Tatarzy, którzy w XIII wieku przybywszy z Azji napadli na Ruś i Polskę i założyli sobie na brzegach Morza Kaspijskiego państwo zwane Złotą Ordą, niepokoił nas swymi napadami do końca XVII wieku i ludzi bezbronnych, kobiety i dzieci porywali do niewoli, nie mówiąc już o jeńcach wojennych.

Trudno zaiste u zmyślenie przygód dziwniejszych od historii niewoli u Tatarów i Turków, czyli, według powszechnego niegdyś wyrażenia, u pogan. Ileż w nich najosobliwszych wydarzeń, ile dziwnych igrzysk losu i zmian fortuny!

Cała plaga tatarska otaczała się mgłą zabobonu i tajemnicy, w której niezwykłe przygody naszych ofiar jasyru przybierały podobieństwo do scen jakiejś dziwotwornej powieści wschodniej.

Przywiedziemy tu taką powiastkę o dwóch panach Żurkowskich.

Porwano panów Żurkowskich w niewolę najprawdopodobniej podczas wyprawy Jana Zamoyskiego do Multan w r. 1595. Siedemdziesiąt tysięcy tatarstwa walczyło wtedy bezskutecznie ze szczupłym wojskiem wielkiego założyciela Zamościa, urywa-

jąc tylko jeńców codziennie. Do znacznej liczby szlacheckiego i nieszlacheckiego plonu uprowadzonego tymi czasy w gęstych zagonach ordy¹⁾ przybyło też niemało brańców multańskich.

Wespół z wszystką wcześniejszą i późniejszą współbracią niedoli krymskiej powędrowali i panowie Żurkowscy zwyczajnym sposobem na troku²⁾ do Perekopa, skąd — po daremnie wyglądanym wykupie — sprzedano ich dalej do Carogrodu. Tam znaczniejsi jeńcowie szli pospolicie do Jedykuły, po polsku Czarnej Wieży, aby w niej czekać ostatecznego wyroku woli sułtańskiej albo nadesłania ogromnego okupu z Polski. Ubogich panów Żurkowskich pomieszczono w tłumie jeńców zwyczajnych u wiosła na galerach tureckich.

Ze wszystkich losów niewoli pogańskiej był to los najstraszniejszy. Upadały pod nim tysiące a tysiące naszych ofiar jasyru. Używane niegdyś galery miały postać ogromnych łodzi, których pośrodkiem ciągnęło się powzdłużne poddasze dla osady. Przeznaczeni do wiosłowania niewolnicy przykuci byli w dwóch rzędach z obojej strony łodzi, po pięciu przy każdym wiosle, po dwustu u pięćdziesięciu wiosła każdego statku. Obnażeni do pasa, musieli wszyscy za danym znakiem rzucać się biodrami w tył na wiosła i tylko niezmiernym wyteżeniem zdołali nadawać wiosłom w ten sposób ruch należyty.

Galery takie bywały jedynymi statkami wojennymi owego czasu, a w każdej bitwie pierwsze strzały wymierzano do wiosła. Nikt też prócz niewolników nie dawał się używać do służby wiosłarskiej na galerach, co w dalszym następstwie pociągnęło za sobą potrzebę tym większej liczby niewolnych. Przy ciągłej zaś wojnie morskiej u Turków, przy niezmiernej liczbie uzbrajanych ku temu galer, ileż nieszczęśliwych ofiar jasyru potrzebowali Turcy u swoich wiosła przez długie lata, ileż porwanych ziomków naszych ginęło tam rokrocznie bez żadnej wzięści!

1) Oddziały wypadowe konnicy tatarskiej

2) Na smyczy

Zagrożeni podobnym losem Żurkowscy zasługiwali ze wszystkimi współtowarzyszami swoimi na tym większe uznanie nasze, ile że niewymownie ciężka ich dola była wysokiej zacności świadectwem. Należało bowiem każdemu niewolnikowi chrześcijańskiemu przyznać się tylko do gotowości przyjęcia wiary mahometańskiej, aby otrzymać uwolnienie od więzów i zostać swobodnym obywatelem tureckim. Jakoż sami panowie Żurkowscy znali niemało ziomków, którzy na tej drodze uniknęli katuszy na galerach, a nawet wrócili do ojczyzny.

Po kilkunastu latach niewoli kazano Żurkowskim jednego razu wiosłować z Carogrodu na Greckie Morze³⁾. W towarzystwie trzydziestu galer wypłynęli Żurkowscy pod naczelnictwem samego Kapudan-baszy na wyprawę wojenną do Małej Azji przeciw wybuchłemu właśnie powstaniu Druzów⁴⁾. U przylądka Corvo spostrzegły łodzie tureckie napływający ku sobie oddział okrętów cudzoziemskich. Była to eskadra ośmiu galer neapolitańskich, wyprawiona przez wicekróla Neapolu, księcia Ossuna, ku poskromieniu rozbójników morskich w Cylicji. Załoga okrętów neapolitańskich wrzała tak głęboką żądzą boju z jakimikolwiek Turkami, iż bez wahania uderzyła na nieco większą siłę nieprzyjacielską. Wszczęła się krwawa bitwa. Siedem statków tureckich zostało wziętych, trzy z trudnością uciekły. Do zabranych należała także galera panów Żurkowskich. Nieprzewidziany ten wypadek zmienił całkowicie ich los. Zwycięzcy chrześcijańscy rzucili się co prędzej do rozkuwania niewolników u wiosł, których na wszystkich galerach zdobytych naliczono z radością tysiąc. W miejsce odbitych braci przykuwano tyluż Turków do wiosł. Uwolnieni jeńcy padli w uniesieniu wdzięczności do nóg admirałowi chrześcijańskiemu, który odesłał wszystkich do wicekróla.

Takim sposobem znaleźli się nasi panowie Żurkowscy niespodzianie w Neapolu. Wicekról tego państwa, książę Ossuna,

3) Między Grecją a Małą Azją

4) Plemię zamieszkałe w górach Libanu i dążące do wytworzenia niezależnego państwa syryjskiego w XVII w.

przyjął ich bardzo łaskawie, ale nie myślał wcale przyśpieszyć im powrotu do ojczyzny. Odbici z niewoli tureckiej chrześcijanie przechodzili zwyczajnie na własność swoich wybawców. Podobnież i panom Żurkowskim przyszło pozostać w poniewolnej służbie księcia Ossuna.

Upłynęło w niej całe trzy lata i miało zapewne upłynąć nierównie więcej. Lubo w porównaniu z przeszłością wielkim to było szczęściem, odzywała się coraz to częściej tęsknota do stron rodzinnych. Dumając o nich żałośnie, otrzymują nieboracy jednego razu osobliwy rozkaz od pana. Przynoszą im strój bogaty i każą od stóp do głów ubrać się w jedwabie i aksamity. Tak przystrojonych prowadzą dworzanie do sali wicekrólewskiej, w której zastają ucztę wspaniałą. U stołu pomiędzy dwunastoma książętami siedzi wicekról, a przy nim jakiś młodzian dorodny, widocznie Polak. „Jest to syn waszego wielkiego Zamoyskiego — rzecze do zdumionej szlachty wicekról — daję mu was w darze obydwóch”. Uszczęśliwieni towarzysze niewoli przypadli z kolei do kolan wicekrólowi i młodemu panu z Zamościa. Z ojcem wyszli niegdyś z ojczyzny, z synem powrócą teraz do niej.

Jakoż stało się to niebawem. Jeszcze tego samego roku 1617 zawitał młody Tomasz Zamoyski do ojczyzny, a z nim stanęli w niej także obaj wyzwolenicy z jasyru.

NIEWOLNICTWO KOLONIALNE

Krótki zarys długich dziejów niewolnictwa kolonialnego

Hipolit Gliwic: *Podstawy ekonomiki światowej — Materiał ludzki w gospodarce światowej*

Hipolit Gliwic — (1878—1942) profesor ekonomii w Wolnej Wszechnicy Polskiej, polityk, były minister przemysłu i handlu, przedstawiciel Polski w Lidze Narodów po pierwszej wojnie światowej, studiował sprawy ekonomiczne całego świata i napisał poważne i ciekawe dzieło *Podstawy ekonomiki światowej*.

Wskrzeszenie niewolnictwa, na którym w znacznym stopniu oparte było gospodarcze życie antyczne¹⁾, a które ze zwycięstwem chrystianizmu teoretycznie upadło — na zawsze, jest jednym z najbardziej interesujących i pouczających zjawisk historycznych.

Wielki podróżnik, infant²⁾ portugalski Henryk Żeglarz, kładzie w roku 1442 podwaliny pod nowoczesną erę niewolnictwa przywożąc z brzegów zachodniej Afryki nie tylko złoto, jaja strusie itp. artykuły egzotyczne, lecz także w charakterze *curiosum* pierwszy transport tzw. czarnego hebanu³⁾. Dwa

1) Starożytnych narodów

2) Następcą tronu

3) Murzynów

lata później organizuje się pierwsze towarzystwo handlu niewolnikami.

Są to skromne początki. Najbardziej ponura w dziejach ludzkości instytucja wnet po wznowieniu rozwinię się wspólnie, rozkwitnie obficie, rozszerzy pysznie, a to na tle najdonioślejszego w dziejach ludzkości wydarzenia, jakim jest bezsprzecznie odkrycie Ameryki⁴⁾.

Pewne epizody z dziejów stosunku do zagadnienia pracy w angielskich koloniach Ameryki dostarczyć nam mogą nie mało przyczynków do tego, jak decydująco wymogi gospodarcze wpływają na najbardziej oświeconą opinię publiczną, a co jeszcze ważniejsza, jak zniekształcają i deprawują prawodawstwo wbrew najbardziej liberalnym tendencjom. W południowych koloniach, gdzie plantacyjna gospodarka, zwłaszcza zaś produkcja tytoniu uprawianego na wielkich obszarach, wymaga liczego personelu, sprawa importu rąk roboczych staje się palącą. Pierwszy okręt niewolniczy zawinął do Wirginii w roku 1619. Był to statek holenderski, który wysadził w Jamestown 20 Negrów przeznaczonych do plantacji tytoniowych.

W dziejach niewolnictwa w koloniach angielskich jaskrawo przejawiają się nie różnice poglądów, lecz jedynie sprzeczności interesów metropolii i jej posiadłości zamorskich. Jako obrońcy szczytnych haseł wolności i swobody występują to koloniści, to rząd londyński, w zależności od tego, co im dyktują każdorazowo chwilowe widoki korzyści materialnych.

Anglia jest zainteresowana w handlu niewolnikami. W r. 1662 monopol w tej dziedzinie zostaje udzielony Królewskiej Afrykańskiej Kompanii Angielskiej z księciem Yorku na czele. W r. 1772 rząd brytyjski przeprowadza prawo, na mocy którego każdy niewolnik staje się wolnym człowiekiem w momencie, gdy stopą swą dotknie ziemi angielskiej. Trudno

4) r. 1492

o lepszy przykład względności zasad moralnych i zależności ich od wymogów gospodarczych. Niewolnictwo, uznane za instytucję nie do pomyślenia w metropolii, uważa się za system pożyteczny dla kolonii. Mało tego. Prawa ferowane przez kolonie celem ograniczenia handlu niewolnikami są uchylane przez koronę.

Ale dobrobyt kolonistów coraz wyraźniej zaczyna się opierać właśnie na systemie niewolnictwa, zwłaszcza w Indiach Zachodnich z ich plantacjami trzciny cukrowej. Import Negrów rośnie. W ostatnim ćwierćwieczu XVII wieku Ameryka otrzymuje mniej więcej 2½ tysiąca Negrów rocznie. W początkach XVIII wieku liczba ta podnosi się do 20 i 25 tys., ku końcowi zaś dochodzi do 47 tys. osób rocznie. Nawet bogobojni Yankesi⁵⁾ z północnych kolonii, potomkowie zdecydowanych przeciwników niewolnictwa, imają się tego lukratywnego⁶⁾ handlu, gdy tylko przestaje on być przywilejem monopolistycznym. Widocznie ich kanony moralności zabraniały posiadać niewolników, lecz pozwalały handlować nimi.

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że rachunkowi i rzeczowi koloniści anglosascy nie byli niepotrzebnie okrutni. Jeżeli okazywali się mało dostępni wszelkim racjom sentymentalnym i nieubłagani nawet, gdy chodziło o dobro gospodarstwa, tak jak to dobro wtedy rozumiano, to wypada pamiętać, że patrzyli na swych niewolników jak na instrument do pracy, kosztowny przy tym bardzo instrument. W XVII wieku wprowadzają kolonie prawo, na mocy którego dzieci niewolników stają się niewolnikami. Decyzja taka jest widocznie podyktowana chwalębną skądinąd troską gospodarską o stworzenie własnego przychówku. W tej samej trosce szukać należy źródła proklamowanej zasady, że przyjęcie chrztu nie zwalnia z niewoli i że nawet wolny Negr nie może uzyskać pełni praw obywatelskich. Murzyn nie ma prawa noszenia broni i używania jej przeciw

⁵⁾ Yankesi — czytaj: Jankesi — Amerykanie

⁶⁾ Przynoszącego wielkie dochody

białemu, nawet w swojej obronie. Zresztą, jak już powiedziałem, obchodzono się z Negrami bez zbytniego okrucieństwa, jeżeli to nie wchodziło w kolizję z interesem. Na plantacjach tytoniu stosunek do niewolnika był ludzki, ale na plantacjach ryżu w Południowej Karolinie nie zwracano najmniejszej uwagi na straszne, dziesiątkujące czarnych warunki klimatyczne i higieniczne. W Wirginii uważano za bardziej gospodarczo celowe zmuszanie niewolników do krańcowych, aż do kompletnego wyczerpania wysiłków niż do oszczędzania sił. Jest to ten sam system obecnej intensywnej gospodarki amerykańskiej, która prowadzi do zużycia maszyny, aż się z niej szmele zostanie.

Po zwycięskiej rewolucji amerykańskiej⁷⁾ niewolnictwo chyli się niechybnie ku upadkowi nie tylko w Stanach Północnych, gdzie w roku 1804 przeprowadzone są już zarządzenia mające na celu zniesienie tej ohydnej instytucji, ale i w Południowych. Ujemne gospodarczo strony niewolnictwa zdołały się wszędzie tak uwidocznić, że wielu wybitnych południowców dążyło do zniesienia go. W r. 1796 Wirginia, Karolina, Georgia i Maryland zabraniają wwozu niewolników. Zdawało się, że wybiła ostatnia godzina niewolnictwa. A jednak odruch ku zniesieniu go został wkrótce fatalnie i na długo zahamowany.

Zjawia się niebywały popyt na bawełnę, która dzięki pewnym ulepszeniom technicznym staje się najtańszym, a więc najbardziej poszukiwanym włóknem. Szybko rozszerza się pas bawełniany. Daje się odczuwać gwałtowny wprost brak rąk roboczych, czemu zaradzić może wówczas tylko handlarz niewolnikami. W rezultacie system nieśmiało i chyłkiem wprowadzony niegdyś na plantacje trzciny cukrowej, doznaje, wobec nagłego rozszerzania się uprawy bawełny, już w XIX wieku niesłychanego impulsu, zostaje nie tylko utrzymany, ale

⁷⁾ Po wojnie o niepodległość Ameryki Północnej z Anglią (1776 — 1783)

wyniesiony na piedestał nienaruszalnego dogmatu, jako omal nie narodowa instytucja, w każdym razie — jako główna ostoja gospodarczej pomyślności kraju.

Liczba niewolników koncentrujących się przy tym wyłącznie prawie na Południu (tj. w pasie bawełnianym) rośnie gwałtownie, podskakując z 0,7 mil. w roku 1790 do 2 mil. w roku 1830. Na Północy tymczasem w r. 1820 można się było doliczyć z trudnością 19 tys., a w r. 1840 już tylko 1 tysiąca Negrów.

Uprawa bawełny jest już ostatnią produkcją nowych czasów, do której dla całego szeregu powodów może być jeszcze stosowana praca niewolnicza.

Jednakże przy niewolnictwie można było trwać bezkarnie, i nawet wzbogacać się, jeżeli się nie wychodziło poza wąskie bądź co bądź ramy monokultury⁸⁾ bawełnianej, lecz nie podobna było marzyć o rozwoju wszystkich sił produkcyjnych, a zwłaszcza o uprzemysłowieniu Południowych Stanów, do czego istniały wszystkie obiektywne przesłanki. W ciągu dziesięciu lat: 1850—1860 r., dokonały się olbrzymie przemiany na Północy, która wykazała niesłychany postęp wszechstronny. W postępie tym Południowe Stany nie brały udziału. Trwały one w bezwładzie ogólnym i niezależnie od wciąż rosnącego popytu na bawełnę oraz mimo swych bogactw mało różniły się co do form swych urządzeń społecznych i administracyjnych, a przede wszystkim co do ekwipunku technicznego od tego, co było na początku stulecia. Dla gospodarczej przyszłości Unii Amerykańskiej, jeżeli miała ona być utrzymana, Południe stawało się ciężką zawadą. Stąd pęd potężny właśnie ze strony Północy ku jak najszybszemu zniesieniu niewolnictwa, tym bardziej zrozumiały, że nie posiadając sama niewolników Północ łatwo mogła sobie pozwolić na szeroki gest humanitarny. Trudno natomiast było przejąć się szlachetnymi zasadami mi-

8) Nastawienie gospodarki na produkcję jednego tylko rodzaju roślin użytkowych

łości bliźniego o ciemnym kolorze skóry południowcowi, który na te rzeczy nie patrzył z wysokości potrzeb ogólnopaństwowej ekonomiki, lecz z własnego, rojącego się od Murzynów podwórka. Nie oczekując od abolicji⁹⁾ niczego, prócz niesłychanych strat, wolał on oderwać się od Unii i stworzyć własną federację. Nigdy jeszcze, odkąd świat światem, nie walczono z większą zaciętością, odwagą i męstwem niż południowcy, ale nigdy też nie walczono o wstrętniejszą i gorszą sprawę. I jeżeli wojna o zniesienie niewolnictwa skończyła się w r. 1865 tym, że niewolnictwo upadło, to nie dlatego, iż była to z gruntu moralnie zgniła instytucja, ale dlatego, że się ekonomicznie przeżyła.

Targ niewolników w Nowym Orleanie

H. Beecher-Stowe: *Chata wuja Toma*

W czasie walki Stanów Północnych z Południowymi o wolność Murzynów (1861—1865) Amerykanka Beecher-Stowe napisała powieść *Chata wuja Toma*, w której przedstawiła prawdziwe dzieje kilku rodzin Murzynów. Książka obiegła świat cały, bo przetłumaczono ją na wszystkie języki. I wszędzie wzbudziła współczucie dla nieszczęśliwych, wszędzie poruszyła sumienia ludzkie. „Czytając mą książkę, pisze autorka, słyszeć będziecie przeraźliwy świst bata właściciela i krzyki męczeńskie niewolników. Te krzyki i jęki odbijają się echem w każdym domu amerykańskim, ludzie nie zniosą ich, nie wytrzymają tych tortur”.

Rzeczywiście *Chata wuja Toma* wzburzyła wszystkich i liczba zwolenników wywalczenia wolności Murzynów wzrosła pod jej wpływem.

Podajemy z tej książki wyjątek opisujący targ niewolników w Nowym Orleanie.

W dzień wyznaczony na licytację mrowie ludzkie wszelkiej narodowości roilo się na marmurowych posadzkach długiej galerii w Nowym Orleanie¹⁾. W środku okrągłej sali na wzniesieniu stali prowadzący licytację woźni i sami sprzedający.

⁹⁾ Zniesienie niewolnictwa.

¹⁾ Nad rzeką Mississippi w stanie Luizjana

Każdy zachwalał swój towar i starał się ściągnąć do siebie nabywców.

W jednym końcu sali stoi cała gromadka niewolników z jednej plantacji, strwożonych, oczekujących ze spuszczoneymi w ziemię oczyma rozpoczęcia licytacji. W drugim uderzają wzrok dwie postacie kobiece.

Starsza, dobrze odziana Mulatka ze słodkim wyrazem twarzy, pięknymi rysami, sprawia wrażenie niezwykle. Obok niej — jakby przykute — stoi młode dziewczę, lat może piętnaście liczące. Jest to jej córka, bardzo do matki podobna: ma takie same słodkie, ciemne oczy, tylko z dłuższymi jeszcze rzęsami, taki sam włos bujny i ciemny. Delikatne jej ręce wskazują, że nie pracowała ciężko. Dotychczas los dawał jej szczęście.

Wychowywana po chrześcijańsku, jako służąca u dobrej pani, mało zaznała cierpień swej rasy na ziemi amerykańskiej. Aż wreszcie dola jej niespodziewanie się odmieniła. Jedyny syn jej opiekunki roztrwonił majątek rodzinny i narobił ogromnych długów. Wierzyciele zajęli martwy i żywy dobytek i wystawili go na sprzedaż. W skład tego dobytku wchodziły obie służebnice. Teraz całą nadzieją nieszczęśliwej matki, jedyną jej modlitwą do Boga jest, aby jej nie rozłączono z córką Ewelina.

Pewna liczba chętnych nabywców zebrała się naokoło gromady mężczyzn macając ich i oglądając z bliska, robiąc uwagi nad tęgością budowy ich ciała lub wadami, jakby tu chodziło o konia albo o inne jakie zwierzę.

Rozpoczęła się wreszcie licytacja. Stary niewolnik wszedł na pieńek, trwożliwy wzrok rzucił dokoła. Szybko jedne po drugim rozlegały się coraz wyższe ceny to w angielskim, to we francuskim języku, a w przerwach dyrektor licytacji zachwalał sprzedawanego. Minęła chwila, rozległo się ostatnie uderzenie młotka i głos dyrektora z ostatnią ceną. Staruszek usłyszał już tylko wyraz „dolarów“. Ściągnięto go z pieńka, ktoś chwycił go za ramię, pchnął na bok i gburowato rzekł: „Stań tam“. Biedny Murzyn miał już pana.

Teraz stanęła na pieńku Mulatka. Jakiś człowiek ujmującej powierzchowności był jej nabywcą. Mulatka bolesne posyła ku niemu spojrzenie.

— Chętnie bym kupił waszą córkę, ale się lękam, czy cena nie będzie nad moją możność.

Ewelina wchodzi na pieńek. Nieśmiało, trwożliwie wiedzie wzrokiem dokoła, krew rumieni zazwyczaj blade jej policzki. Matka z niepokojem wielkim spostrzega, że dziecię jej wygląda piękniej niż kiedykolwiek. Prowadzący licytację korzysta z tego, wychwala zalety dziewczęcia, cena szybko podnosi się w górę. Dobry człowiek, który kupił matkę i licytował z początku razem z innymi, musi się wycofać i milczy. Młotek spada, dziewczę staje się własnością jakiegoś grubasa wyglądającego jak baryła. Daremnie zalewa się łzami: w innym zupełnie kierunku oddala się razem z nabytymi przez siebie niewolnikami ten, kto kupił jej matkę.

Boli go, że musiał rozłączyć ją z córką, ale zapobiec temu nie mógł, a odrobić tego, co się już stało, nie zdoła.

NIEWOLNICTWO WSPÓŁCZESNE

Ośrodki niewolnictwa współczesnego

Hipolit Gliwic: *Podstawy ekonomiki światowej — Materiał ludzki w gospodarce światowej*

Niewolnictwo, niestety, nie należy do zjawisk zupełnie przeżytych i pokutuje w szczątkowej postaci w rozmaitych miejscach globu naszego. Do ostatniej chwili mówiono o niewolnictwie uprawianym przez dwu członków Ligi Narodów: Liberię i Abisynię.

Kiedy powstała kwestia wstąpienia A b i s y n i i¹⁾ do Ligi Narodów, wynikło jednocześnie żenujące pytanie, co począć z panującym tam systemem niewolnictwa. Przedstawiciele Abisynii wskazali wtedy na wydany w r. 1923 edykt zakazujący pod karą śmierci obracania wolnych ludzi w niewolników. Gdy to okazało się mało przekonujące, rząd abisyński wydał w r. 1924 nowy, dość oryginalny edykt. Pierwszy punkt tego edyktu, wyrażając obawę, że jeśli się uwolnili wszystkich niewolników, może im grozić ewentualność stania się złodziejami, bandytami i zbrodniarzami, nakazuje... pozostawienie niewolników w ręku ich obecnych panów. Temu dwuznacznemu artykułowi towarzyszy drugi, grożący za kupno

1) Kraj w północnej Afryce

lub sprzedaż niewolników surowymi karami aż do dożywotniego więzienia.

Zwolennicy niewolnictwa uciekają się zawsze do przeprowadzania różnic pomiędzy władaniem a handlem niewolnikami uznając za zbrodnię w jednych wypadkach władanie, w drugich handel, w każdym razie tę funkcję, którą się sami nie zajmują.

W Liberii²⁾ ludność dzieli się na dwie nierówne kategorie: garstkę 12 000 „cywilizowanych“ Murzynów, potomków emigrantów z Ameryki, oraz ponad milion niecywilizowanych Murzynów — aborygenów (tubylców). Pierwsi to uprzywilejowani obywatele, drudzy to bierna i ciemna masa poddanych. Klasa kierownicza werbuje się wyłącznie z pierwszej kategorii, pracownicza — z drugiej. O chęci do pracy ze strony „niecywilizowanych“ nie może być mowy. Nie mają oni żadnych potrzeb. Natomiast Amero-liberyjczycy wywieźli szereg nawyków z Ameryki i na gwałt potrzebne im są ręce robocze. Bardzo liberalna — co cechuje, zdaje się, wszystkie podstawowe ustawy krajów prymitywnych — konstytucja liberyjska zakazuje niewolnictwa. Tendencja do utrzymania pewnego stanowiska wśród narodów świata działa w tym samym kierunku. Więc aplikowane są różne wybiegi. Rodziny amero-liberyjskie adoptują dzieci, które wykonują prace domowe bez żadnego przeważnie wynagrodzenia. Ludzi się zastawia za długi. Wreszcie ludzi się sprzedaje. Władze liberyjskie, nie otrzymując podatków od miejscowych „królików“, konfiskują ich bydło, zboże itp., często uprowadzają także młodych ludzi, których zmuszają do pracy bezpłatnej na plantacjach kawowych, często wywożą na Fernando-Po, gdzie ich wynajmują za pewne pogłównne.

Niedaleko od niewolnictwa odeszła popularna w Chinach, będących także członkiem Ligi, instytucja *Mui-Tsai*, której początek ginie w mroku wieków. Dziewczęta w wieku

²⁾ Republika murzyńska w Afryce Zachodniej na wybrzeżu Gwinei.

od 7 do 10 lat oddawane są przez rodziców na służbę, gdzie aż do zamążpójścia darmo pracują na swych patronów. W ten sam sposób rekrutują się i prostytutki, które są własnością kobiet utrzymujących domy publiczne.

Taka sama sprzedaż dzieci — czasowa, tylko w okresach gospodarczego przesilenia — daje się zauważyć i na Haiti³⁾.

W różnych częściach Afryki istnieje obyczaj odprzedawania w ten sposób córek na żony z prawem zresztą dalszej sprzedaży później innym, co ewentualnie sprowadza się do handlu żywym towarem w celach rozpusty.

Handel niewolnikami na Morzu Czerwonym⁴⁾ i w Cieśninie Mozambickiej⁵⁾ trwa wciąż jeszcze, jak w ogóle w mahometańskiej Afryce Wschodniej. Poza Afryką stwierdzono ślady niewolnictwa w pewnej części Bury oraz Nepalu (Azja). W Ameryce Południowej niektóre szczepy uprawiają połów niewolnika. W oddalonych sylwasach Ekwadoru, Peru i Boliwii dzikie bandy porywają kobiety i dzieci wrogich szczepów i sprzedają przedstawicielom białych posiadaczy wielkich plantacji. Stwierdzono, że w różnych częściach Ameryki istnieje specjalna forma pracy pańszczyźnianej tubylców, która często przybiera cechy niewolnictwa.

Niewolnictwo w Ukajali

Arkady Fiedler: *Ryby śpiewają w Ukajali*

Arkady Fiedler, współczesny powieściopisarz, przyrodnik i podróżnik polski.

Gdy jechałem parowczykiem z Ignitos w górę rzeki Ukajali¹⁾ do Kumarii, wsiadła na statek pewna anemiczna niewiasta z jeszcze bledszym kretynowatym synem i kilkuletnim

3) Haiti, inaczej San Domingo — wyspa między Ameryką Północną i Południową w archipelagu

4) Między Afryką a Arabią

5) Między Afryką a wyspą Madagaskarem

1) Rzeka źródłowa Amazonki wypływająca z Kordylierów

Indianinkiem. Czerwony chłopczyk miał ładną, puciołowatą twarzyczkę, świecące się inteligentne oczy i wypukły brzuszek i był ich służącym.

Zaprzyjaźniłem się z sympatycznym malcem. Któregoś dnia wymieniliśmy sobie swoje imiona i odtąd uśmiechaliśmy się do siebie serdecznie, nic zresztą nie mówiąc. Gdy to zauważyła niewiasta, zwróciła się do mnie z nieoczekiwaną propozycją, ażebym nabył Indianina na własność za niedrogie pieniądze. Ile chce za niego? Sto soli (co odpowiada czterdziestu złotym przedwojennym). Kupiwszy go mogę z nim zrobić, co mi się podoba, tylko nie zabić, gdyż tego zabrania prawo.

I podczas gdy niewiasta zachęcała mnie do kupna chłopczyka, obiekt tych targów stał niedaleko i, jak zwykle, serdecznie uśmiechał się do mnie z inteligentnych ludzkich oczu, nieświadomy, że ważą się jego losy.

Górne Ukajali, to najbardziej odległy od cywilizacji zakątek ziemi. Nad Górne Ukajali ściągają łowcy fortuny różnych narodowości i zakładają hacjendy²⁾ kawy, bawełny i trzciny cukrowej. Do uprawy potrzeba rąk. Więc zwabia się ręce niemieckie, włoskie i inne — także polskie. Ale Europejczycy nie znoszą twardych warunków życia, niskich zarobków i zupełnego braku cywilizacji, buntują się i uciekają. A tymczasem hacjenderzy potrzebują wielu rąk, tanich, uległych rąk, jak najwięcej rąk.

W Kumarii patrzę co dzień na błękitny łańcuch gór wznoszący się na zachodnim horyzoncie. Za tym łańcuchem gór, wcale nie tak daleko od Kumarii, rozciąga się aż do samych wysokich Kordylierów tajemnicza, niezbadana, białą plamą na mapach oznaczona kraina: Gran-Pachonal. Mieszka tam dziki myśliwski szczep Kampów, rośłych, przystojnych mężczyzn i urodziwych zazwyczaj kobiet. Kampowie wiodą koczowniczy tryb życia i zabijają chorych starców. Znają wnętrze puszczy, kochają wolność, unikają jak ognia białych ludzi i mają twar-

²⁾ Fermy

de, wytrzymałe na klimat ręce. Ręce potrzebne hacjenderom.

Na połów Kampów hacjenderzy posyłają wyprawy, które wyrobiły sobie pewien system działania. Świetnie uzbrojeni peoni otaczają w nocy szałas swych ofiar, puszczają na dachy palące się strzały i po wzniesieniu pożaru wybijają mężczyzn, stare kobiety przepędzają, a resztę, to jest chłopców do 10—12 lat i dziewczyny do 20 lat, biorą jako zdobycz. Hacjendy nad Ukajali zyskują robocze ręce.

Czy rząd peruwiański wie o tym? Zapewne wie, lecz na Gran Pachonalu nie ma żadnej władzy, bo Gran Pachonal jest przecież białą plamą na mapach. A na białych plamach map toczy się bezustanna wojna. Zresztą nie wygasły jeszcze bynajmniej konkwistadorskie³⁾ tradycje i obyczaje Peru. Do Ignitos wywozi żywy towar na swym parowcu Libertad (Wolność) sympatyczny grubasek Gregorio Delgano, zawsze miło uśmiechnięty, wychowany i wykształcony w Genewie.

Dalsze losy porwanego dziecka płyną już w ramach legalności. Hacjender, czyli patron, adoptuje je i wciela w skład swej licznej rodziny. Tym samym dziecko jest zmuszone pracować dla niego za darmo, a w razie ucieczki wszystkie władze gonią i chwytają „marnotrawnego syna“.

Taki syn, niestety, ma tylko synowskie obowiązki bez żadnych praw, nie może też, oczywiście, dziedziczyć po śmierci patrona. Gdy patron chce odstąpić dziecko komu innemu, czyni to za odpowiednią zapłatą, która jednakże nie nazywa się ceną sprzedaży, lecz zwrotem kosztów za wychowanie i wykształcenie dziecka. Nowy nabywca wchodzi we wszystkie prawa patrona i może Indianina dalej odstępować, tak samo jak sprzedaje się towar lub zwierzę domowe.

Gdy Indianin dorośnie, los jego pozornie się poprawia. Patron wyznacza mu jakąś dziewczynę za żonę, sprzedaje mu

³⁾ Konkwistadorowie byli to hiszpańscy zdobywcy Ameryki, którzy otrzymywali od swego rządu przywileje krzywdzące tubylców, pozwalające na handel niewolnikami

w pobliżu hacjendy trochę ziemi, wielki nóż-maczetę i nieco nasion i każe mu gospodarować. Sprzedaje, oczywiście, nie za gotówkę, bo Indianin pieniędzy nie ma, ani się na nich nie zna, lecz za przyszłe plony ziemi i za przyszłą pracę na hacjendzie. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Indianin musi na hacjendzie odrabiać swe długi. Hacjender kalkuluje w ten sposób, że Indianin jest mu zawsze winien, i bywa, że za otrzymany od patrona kawał drelichu na ubranie musi pracować przez rok na polu, znosić z lasu zwierzynę, łowić ryby, rąbać drzewo.

I z tego zaczarowanego koła nigdy nie wyjdzie.

Gdy Indianin chce się uwolnić i ucieka, wszystkie władze gonią go, łapią i odstawiają patronowi jako „nieuczciwego dłużnika“, tak jak poprzednio w młodych latach łapały „marnotrawnego syna“. Należy się, aby dłużnik spłacił najpierw swe długi pracą, potem może być wolny, ale w tym już głowa patrona, żeby odrabiając zaległości czerwony matoł wpadł w nowe długi.

Zresztą wypadki ucieczki bywają rzadkie. Hacjender umie Indianina tak przywiązać do siebie, iż biedaczysko jest mu wdzięczny, że żyje i że ma kogoś, kto za niego myśli i o niego dba. Wszyscy Indianie nad Ukajali, Czamowie i Kampowie z małymi wyjątkami są pod patronami, w przeciwieństwie do Indian żyjących w głębi lasów z dala od Ukajali, gdzie nie ma białych ludzi i hacjenderów.

Nie zawsze gwałtem i rozlewem krwi zdobywa się dzieci indiańskie. Często sami Indianie, zwłaszcza ze szczepu Kampów, sprzedają dobrowolnie swe dzieci, które widocznie przeszkadzają im koczować w puszczy. Takie dziecko miało podczas swej bytności w Kumarii ustaloną cenę: płaciło się rodzicom jedną indiańską strzelbę kapiszonówkę, jeden nóż-maczetę, materiał na jedną parę spodni i koszulę dla ojca i na suknię dla matki — wszystko razem wartości 70 soli. Za 15—18-letnią przystojną i wyuczoną (tj. umiejącą gotować, prać i prasować) dziewczynę płaci się do 200 soli, co wynosi niespełna 300 złotych (przedwojennych).

Zdarzyło się, że wracam z Kumarii do Ignitos na statku „sympatycznego“ pana Delgano. Wieczorem po kolacji palimy papierosy przy czarnej kawie. Delgano świetną francuszczyzną mówi o powrocie do Europy i Genewy, gdzie spędził najpiękniejsze chwile swego życia.

— A czy pamięta pan — odzywam się — że w Europie jest Liga Obrony Praw Człowieka, a w Genewie Liga Narodów?

Na to Delgano uśmiecha się rozkosznie, czyni tajemniczy ruch ręką i powiada:

— Och, Boże!

Brzmi to prawie jak światopogląd.

Jądro ciemności

Józef Conrad: *Jądro ciemności*

Tłum. z angielskiego Aniela Zagórska

Przytoczony poniżej opis pochodzi z noweli osnutej na tle wspomnień osobistych znanego pisarza angielskiego, Polaka z pochodzenia, znawcy krajów egzotycznych — J. Conrada. Mamy tu obraz stosunków panujących w Afryce środkowej (Kongo belgijskie) — u schyłku XIX wieku. Tak wygląda niewolnictwo ludzi czarnych w okowach ustroju kapitalistycznego przywiezionego przez białych.

— Oto stacja waszej spółki — rzekł Szwed wskazując na trzy drewniane budynki podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości.

Natknąłem się na kociel poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Ten wagonik wyglądał tak, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozlatujące się maszyny, na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymrużyłem oczy.

Ścieżka była stroma. Na prawo zadźwięczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłęb dymu wydobył się ze skały i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkadzać w robocie, ale bezcelowe jej wysadzanie było jedyną pracą, jaką wykonywano.

Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych ludzi, stawy ich członków wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrozę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi z rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczonego huk. Ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone prawo, tak samo jak pękające pociski przybyło z za morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały razem, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat działania nowych sił — włókł się zgnębiony trzymając strzelbę. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność, nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na dystans bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz pokazując białe zęby w szerokim łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem

powierzonych mu ludzi, jakby poczuwał się ze mną do koleżeństwa w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja również byłem częstką wielkiej przyczyny wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim znów zacznę się wspinać. Obszedłem wielką dziurę wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wydobywano piasek. Była to po prostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnym zamiarem, aby dostarczyć zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem.

Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powałęsać się trochę w ich cieniu. Ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś *inferno*¹⁾. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepełniający tajemniczym rytmem żałobny spokój gaju, jak gdyby szarpiący krok rozpędzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najłżejszego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

Czarne kształty czołgały się, leżały, siedziały między drzewami opierając się o pnie, tuliły się do ziemi — to widzialne, to przesłonięte mętnym półmrokiem — we wszelkich/ możliwych pozach wyrażających ból, rozpacz i zgnębienie. Wybuch miny w skale dał się znów słyszeć i ziemia wzdrygnęła się lekko pod moimi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć.

Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszyst-

1) Piekła

kich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzuceni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą — osłabli, stali się niezdolni do pracy. Pozwolono im wreszcie odpelznąć i wypocząć. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu między drzewami. Potem spojrzawszy w dół zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał, wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się zwolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne — w głębi orbit zatliło się jakby ślepe białe światło i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, który dostrzegłem, ostatnie spojrzenie.

Niedaleko od tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z tych Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem. Inne jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolanach i podpełzła w stronę rzeki, aby się napić. Chłepiała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi.

Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysoki nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpagową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał.

Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro. Uścisnąłem dłoń temu cudowi i dowiedziałem się, że był to główny buchalter spółki, który prowadził całą księgowość na tej stacji.

Prawa obywatelskie robotnika kolorowego w Meksyku

Traven, powieść: *Bawełna i krew*

Na sąsiedniej ławce w parku w Meksyku ¹⁾ siedział indiański robotnik w łachmanach jak dziesiątki tysięcy ludzi naszej klasy, bo płaca zaledwie wystarcza na jedzenie. Często nic nie pozostaje na pryczę za 30 *centavos* w jednym z tych wielu domów noclegowych, gdzie co rana pięćdziesięciu albo osiemdziesięciu, albo stu nocujących wszelkich ras i wszelkich narodów ziemi, dotkniętych olbrzymią ilością chorób znanych lub nieznanym, a nawet nie pomyślanym przez lekarzy — myje się w tym samym kubie i wyciera tym samym ręcznikiem, czesze tym samym grzebieniem.

Indiański proletariusz zasnął na ławce. Jego członki odprężyły się i całe zmęczone i spracowane ciało coraz bardziej upodabniało się do worka łachmanów. Policjant indiański przybliżył się do niego skradając się po cichu. Okrążał ławkę jak drapieżny ptak, który widzi ze swoich wyżyn zdobycz pełzającą po ziemi. Potem, skoro zaszedł znów od tyłu ławki, przeciągnął swój ziemnienny bat przez dłoń i śmignął robotnika przez plecy ze złośliwą brutalnością i ze złośliwym wykrzywieniem warg. Okrutne uderzenie! Z okrzykiem zduszonego jęku pochyliła się górna część ciała Indianina naprzód, jak gdyby mu miecz rozciął plecy. Natychmiast jednak odskoczył w tył i wijąc się z bólu dotykał powoli swych z maltretowanych pleców. Poli-

¹⁾ Stolica związkowej rzeczypospolitej w Ameryce Środkowej, na południe od Stanów Zjednoczonych

cjant wyszedł teraz zza ławki i przekrzywił twarz w diabelskim uśmiechu.

Umęczonemu człowiekowi leciały z bólu grube krople łez po twarzy. Nie powiedział nic. Nie wstał. Siedział dalej spokojnie na ławce. Bo do tego miał prawo. Wolno mu było siedzieć na ławce, choćby był nie wiedzieć jak obszarpany, chociażby przechodzili najelegantsi *caballeros* i *seniory*²⁾ dla słuchania mającego się właśnie rozpocząć koncertu i rozkoszowania się chłodem wieczoru na wygodnych ławkach. Indianin wiedział, że był mieszkańcem i obywatelem wolnego kraju, gdzie milioner nie ma większego prawa do siedzenia na tej ławce chociażby przez 24 godziny niż biedny Indianin. Ale spać nie wolno mu było na ławce. Tak daleko nie sięgała wolność, chociaż ławka stała na Placu Wolności. Była to wolność, gdzie ten, który posiada władzę, może bić batem takiego, który tej władzy nie posiada. Prastare przeciwieństwo między policją a nieszczęśliwymi, obarczonymi, głodującymi i potrzebującymi spoczynku. Indianin nie miał racji, wiedział o tym dobrze, dlatego nic nie mówił, tylko jęczał. Policjant miał rację.

Otóż nie! Nie miał racji! Nie! Nie! Uderzyła mi krew do głowy. We wszystkich krajach o wysokiej cywilizacji, w Anglii, w Niemczech, w Ameryce, a co dopiero w innych krajach, policja bije, a robotnik jest bity. I potem dziwi się ten, co siedzi wygodnie przy żłobie, gdy nagle wstrząsają tym żłobem, gdy żłób pywa gwałtownie przewracany i wszystko leci w drzazgi. Ale ja się temu nie dziwię. Postrzałowa rana zabliźnia się. Uderzenie bata nigdy się nie zabliźni. Wgryza się coraz głębiej w ciało, trafia do serca i w końcu do mózgu i wywołuje ten krzyk, od którego drży ziemia: „Zemsta!“. Bat policjanta toruje drogę szturmującym, których kroki wstrząsają światem i wysadzają systemy w powietrze.

²⁾ Kawalerowie i panny

Biada zadowolonym, gdy bici batem krzyczą: „Zemsta!“. Biada sytym, gdy pręgi batów zżerają serce głodujących i rozdzierają mózg cierpliwych! Zmuszono mnie, bym został buntownikiem i rewolucjonistą. Rewolucjonistą z miłości dla sprawiedliwości, z pragnienia pomocy nieszczęśliwym i obszarpanym. Widok niesprawiedliwości i braku miłosierdzia stwarza tak samo wielu rewolucjonistów, jak niezadowolenie albo głód.

Zerwałem się na równe nogi i podszedłem do ławki, obok której jeszcze ciągle stał policjant. Przeciągał on bat przez dłoń, od czasu do czasu rozcinał nim z gwizdem powietrze i patrzył z uśmiechem na wijącą się ofiarę. Nie zwrócił na mnie uwagi, bo myślał, że chcę usiąść na ławce. Podszedłem do niego i rzekłem:

— Proszę mnie zaprowadzić natychmiast na odwach. Zrobię na pana doniesienie. Pan wie, że instrukcja daje panu tylko prawo używania bata w razie napadu albo podczas zbiegowiska, po dwukrotnym ostrzeżeniu. To pan chyba wie?

— Ale ten pies spał tutaj na ławce — bronił się mały brunatny diabeł, nie większy niż pięć stóp.

— To mógł pan go zbudzić i powiedzieć, że o tej porze tutaj spać nie wolno, a gdyby znów zasnął, mógł go pan z ławki usunąć, ale w żadnym wypadku nie wolno było panu go bić. A więc chodźmy na odwach. Od jutra nie będzie pan miał możliwości kogokolwiek bić batem!

Policjant patrzył na mnie przez chwilę. Widział, że jestem biały, i widział, że mówię poważnie. Powiesił bat na haku swego paska i jednym szybkim susem znikł, jak gdyby go ziemia pochłoneła.

NIEWOLNICY WIĘŹNIOWIE

Galernicy

Wiktor Hugo: *Nędznicy*

Wiktor Hugo — (1802—1885) sławny poeta i powieściopisarz francuski, śmiało głoszący nowe hasła zarówno literackie (jako romantyk, opierający twórczość przede wszystkim na uczuciu), jak i społeczne, i humanitarne. W powieści *Nędznicy* (1862) maluje nieszczęsny los więźnia, który, raz osądzony, wydobyć się nie może z otchłani nieszczęścia ani pozbyć piętna zbrodniarza ciężącego na całym jego życiu. Z przytoczonego wyjątku dowiadujemy się, jak państwo francuskie w okresie budowania podstaw wielkiego przemysłu kapitalistycznego werbuje robotników do najcięższych prac, których dobrowolnie nikt nie chciał wykonywać. Kadry więźniów-galerników, złapanych na drogach żebraków i włóczęgów, gromady bezdomnych dzieci — to najdawniejsi niewolnicy ustroju kapitalistycznego.

Stara monarchia¹⁾ pozwalała zaniedbywać dzieci. Trochę cygańskiego życia w dolnych warstwach było na rękę wyższym sferom i przynosiło korzyść panującym. Wstręt do nauczania dzieci ludu był dogmatem. Na co zda się „połowiczna wiedza”? Takie było hasło. Dziecko-włóczęga idzie w parze z dzieckiem nieukiem.

1) Królowie francuscy przed wielką rewolucją francuską

Zresztą monarchia niekiedy potrzebowała dzieci i wówczas zbierała szumowiny z ulic.

Za Ludwika XIV ²⁾ król chciał utworzyć flotę i miał słuszość. Myśl była dobra, lecz zobaczmy, jakie były środki. Nie ma floty, jeżeli obok statku z żaglami, który jest igraszką wiatru, brak drugiego statku, który by w razie potrzeby mógł ciągnąć ów pierwszy i iść tam, gdzie zechce, czy to za pomocą wioseł, czy za pomocą pary. Galery z wiosłami były wówczas w marynarce tym, czym dzisiaj są parowce. Trzeba więc było galer, lecz galera poruszana jest rękami galerników. Colbert ³⁾ polecił przeto intendentom prowincji i parlamentom ⁴⁾ skazywać jak najwięcej do robót publicznych. Urzędy bardzo chętnie stosowały ten rozkaz. Nie zdjął kto czapki przed procesją — posyłano na galery. Skoro napotkano dziecko na ulicy, a miało ono 15 lat i było bez przytułku, posyłano je na galery. I to się nazywało wielkie panowanie, wielkie stulecie!

Za Ludwika XV ⁵⁾ dzieci znikwały w Paryżu; policja chwytala je, nie wiedzieć w jakim tajemniczym celu. Szeptano sobie ze strachem potworne domysły o purpurowych kąpielach króla. Zdarzało się niekiedy, że urzędnicy policyjni w braku dzieci opuszczonych brali takie, które miały ojców. Ojcowie, zrozpaczeni, rzucali się na urzędników policyjnych. W takich wypadkach parlament wdawał się w tę sprawę i kazał wieść — kogo? Urzędników policyjnych? Nie, ojców.

* *

Przy zbiegu ulic niedaleko dawnej rogatki Maine ⁶⁾ w Paryżu usłyszano hałas, trudny do wytłumaczenia w przedrannej godzinie. Ujrzano jednocześnie jakieś zamglone gromady

²⁾ Sławny król francuski (1638—1715), władca absolutny, mawiający o sobie „państwo to ja”, nazywany przez dworaków „Król-Słońce”

³⁾ Minister marynarki Ludwika XIV (czytaj: Kolber), organizator przemysłu francuskiego

⁴⁾ Sądom

⁵⁾ Ludwik XV (1715—1774)

⁶⁾ Czytaj: Men

przesuwające się z bulwaru na drogę. Rosło to, wydawało się wozem, ale nie można było rozpoznać, czym był ten wóz naładowany. Były konie i koła, słysząc było krzyki i trzaskania z bicia. Stopniowo zbliżająca się masa przybierała wyraźnie kształty, lubo zanurzone jeszcze w ciemnościach. Powoli rozwidniało się i wreszcie ujrzano siedem wozów ciągnących ulicą. Sześć pierwszych miało dziwne kształty — tworzyły one rodzaj długich drabin położonych na kołach. Każdy wóz albo raczej każda drabina zaprzężona była w cztery konie, jeden za drugim. Na nich jechały dziwne grupy ludzi. Przy słabym świetle brzasku nie było ich widać, ale odgadnąć było można, co to za jedni. Po dwudziestu czterech na każdym wozie, po dwunastu na każdej stronie, odwrócenie do siebie plecami, a twarzą do przechodniów, mieli nogi spuszczone ku ziemi. W tyle za ich plecami coś brzęczało — był to łańcuch, a na szyjach coś świeciło — były to obroże. Każdy miał osobną obrożę, ale łańcuch był wspólny dla wszystkich, tak że dwudziestu czterech ludzi zsiadłszy z wozu tworzyło jakąś nieubłaganą jedność i idąc miało wspólny grzbiet z łańcucha, prawie jak stonoga.

W tyle i na przedzie każdego wozu stali dwaj uzbrojeni ludzie, z których każdy miał pod nogą koniec łańcucha. Siódmy obszerny wóz drabiniasty bez nakrycia miał cztery koła i sześć koni. Zapchany był brzęczącą kupą kotłów, tygli, garnków, łańcuchów żelaznych, wśród których leżało kilku chorych ludzi skrępowanych postronkami.

Wozy zajmowały środek ulicy. Po ich bokach, tworząc podwójny szpaler, szli strażnicy o potwornym wyglądzie, poplamieni, obdarci, brudni, w mundurach inwalidów, a spodniach żałobników półszarego, półniebieskiego koloru, obszarpani, prawie jak żebracy, z czerwonymi szlifami, żółtymi rzemieniami, z kordelasami, karabinami, kijami — rodzaj ciurów. Zbiry te zdawały się tworzyć mieszaninę nikczemnego żebraka z powagą kata. Dowódca ich trzymał w ręku pocztylionśki bicz. Na przedzie i w tyle konwoju jechali konno żandarmi: poważni, z obnażonymi szablami w rękach.

Nie wiedzieć skąd w mgnieniu oka zebrały się tłumy gapiów, którzy stali po obu stronach drogi, jak to często bywa w Paryżu. Na sąsiednich ulicach słyszeć było nawołujących się ludzi i tupanie chodaków. Ludzie stłoczeni na wozie pozwalali się wieść spokojnie, zsiniali od porannego chłodu. Odziani byli w płóciennie spodnie i mieli bose nogi w sabotach. Reszta ubrania zależała od fantazji nędzarzy. Odzież ich była ohydnie pstrokata — nic żałośniejszego nad widok arlekina w łachmanach. Pogięte kapelusze pilśniowe, czapki zamazane smołą, obrzydliwie brudne szlafmyce, czarne surduty popękane na łokciach. Niektórzy byli w kobiecych kapeluszach, inni mieli na głowach koszyki. Przez podartą odzież widziałeś obrośnięte piersi i wryte na ciele różne wizerunki — to świętyń miłości, to serc płomiennych, to kupidynów. Widziałeś także liszaje i czerwone chorobliwe piętna. Dwóch czy trzech miało zwieszony pod nogi sznur słomiany, który zastępował im strzemiona. Jeden zdawał się gryźć coś na kształt czarnego kamienia. Był to chleb. Żołnierze eskorty przeklinali, ludzie zakuci siedzieli spokojnie. Czasem rozległ się trzask bicia smagającego łopatką lub głowy. Łachmany były straszne. Nogi wisiały, ramiona kołysały się, głowy uderzały o siebie, brzęczały żelaza. Pięści zaciskały się konwulsyjnie lub otwierały bezwładnie jak ręce trupa. Za konwojem rozlegały się wesołe śmiechy gromady dzieciaków.

Ten szereg wozów był straszny. Oczywiście jutro, może za godzinę, spadnie ulewa, za nią druga i trzecia, przemoczy do nitki zniszczone odzienie i ludzie ci, raz zmoczeni, nie osuszą się nigdy, raz zmarznięci, nie ogrzeją się nigdy. Ich płóciennie spodnie przylepią się do nóg, woda napelni ich chodaki, razy batów nie powstrzymają szczękania zębami, łańcuch będzie ich trzymał za szyję, a nogi pozostaną zwieszane. I nie podobna bez drżenia spojrzeć na te istoty ludzkie, skrępowane i w milczeniu znoszące wszystko na zimnej mgie jesiennej, wystawione na deszcze i wichry, słońce i wszelkie zmiany powietrza jak drzewa i kamienie.

Razy batów nie oszczędziły nawet chorych, którzy, związani postronkami i nieruchomi, leżeli na siódmym wozie, rzućni jak worki napełnione nędzą.

Nagle ukazało się słońce. Trysnął olbrzymi promień od wschodu i zdawał się rzucać ogień na te dzikie głowy. Rozwijały się języki, buchnął pożar szyderstw, przekleństw, konceptów, piosneczek. Gdy śpiewy i bluźnierstwa rozlegały się coraz głośniej, przewodnik eskorty trzasnął z bicia i na ten znak grad kijów z głuchym łoskotem spadł na siedem wozów. Wielu ryczało i pieniało się ze złości. Powiększyło to uciechę nadbiegłych uliczników — jak chmara much obsiadających te rany.

— Ojcie, kto to jest na tych wozach?

— Skazani.

— Dokąd jadą?

— Na galery.

„Sifcug“

Stefan Żeromski: *Popioły*

Stefan Żeromski — (1868—1925) znakomity powieściopisarz, w powieści *Popioły* przedstawił społeczeństwo polskie zaraz po rozbiorach między 1796 a 1812 rokiem. Straszna klęską była wówczas długoletnia służba w wojsku pod zaborem austriackim. Nic dziwnego, że nie może jej znaleźć góral tatrzański. Jako dezenter, dostaje się do więzienia — i tu znów jego siły zużytkowują w pracy przy ciągnięciu statku na Dunaju.

Głuche mroki lochu roztrącał w jednym miejscu promień światła padając spod sklepienia. W skale niezmiernie grubej wybita była kwadratowa jama. Kraty w niej kazały wierzyć, że to okno. Do tego źródła światłości prowadziła framuga tak głęboka, że zdała się być drugą izbą. Na warstwach skały zwojami idących, na wsparciu ich i umocnieniu z granitu przyniesionego pracowitą ręką człowieka światło dnia pełzło niepewne, wylękle, kamienne jak wszystko naokół. Więzień spoczął.

W tej samej chwili ktoś w pobliżu wyszeptał, wysyczał słowo, drugie, trzecie... Więzień z odrazą i trwogą dźwignął głowę i zmrużonymi oczyma jął patrzeć w daleki kąt ciemnicy. Gdy oczy jego przywykły do mroku, zobaczył człowieka. Nieznany towarzysz siedział na ziemi. Przykuty był do swego miejsca, do haka poza nim wbitego w ścianę. Kilkakroć szeptał coś z cicha, wymawiał słowo tajemnicze. Gdy nie otrzymał wcale odpowiedzi, rzekł głośno po polsku:

— Cóżeś jest za jeden, człowieku? Węgier, Liptak czy nasz z Polskiej?

I teraz przybysz nie dał żadnej odpowiedzi. Ale tamten nie przestał mówić. Głos jego dygotał z rozkoszy. Coś w tonach jego drgało i zanosilo się od wytrysków uczucia. Zadawał nieskończoną liczbę pytań prędkich i namiętnych, dowiadywał się — czy też już jesień, czy buki po reglach czerwienieją, czy też już kurniawy¹⁾ jesienne były, czy nie. Pytał się i odpowiadał sobie, że pewno kierdele²⁾ zeszły w dół, a bace³⁾ idą przy koniach perciami⁴⁾. Hale⁵⁾ puste, ino się ta niedźwiedź kole schronisk wałęsa...

Ten szepcący głos był tak silny, tak potężny, że zdawał się huczeć pod sklepieniem i w kątach ciemnego lochu.

Tymczasem drzwi się otwarły i wszedł dozorca więzienny. Skoro tylko stanął w progach, więzień przykuty zaczął go o coś błagać, jęcząc i skomlać. Dozorca przez pewien czas śmiał się oschle. Więzień znowu zaskomlał jak pies. Strażnik ruszył ku niemu i kluczem żelaznym odemknął obręcz, która w połowie korpusu obejmowała skazańca. Zbój, spuszczonego z łańcucha, stanął na nogi i zawył radośnie. Wyciągnął ręce do góry i rozprostował zgięty krzyż. Dozorca cofnął się do drzwi i za-

1) Żadymki

2) Stada owiec

3) Pasterze

4) Dróżka górską

5) Łąki górskie

parł je swoją osobą. Wtedy uwolniony zaczął biegać w kółko po izbie dzwoniąc kajdanami ręcznymi i nożnymi. Zawracał w miejscu i skakał aż do sufitu, zwinnie pomimo kajdan wyrzucając nogi.

Nim dozorca zdążył słowo rzec, gest uczynić, wdrapał się po murze wszczepiając bosc stopy w szczeliny między gładzami. Uchwyciwszy się rękoma żelaznych prętów małego okienka, zawisł pod sufitem jak pantera. Jego wychudła twarz obwieszona pozlepianymi kudłami przywarła do żelaznej kraty, a całe ciało znieruchomiało nagle i zastygło.

— Mocarny! *Halt!* ⁶⁾ Mocarny, ja tobie mówię! *Nieder!* ⁷⁾ — ryczał dozorca chwytając go za bary.

Góral nie poruszył się i nie odpowiadał. Oczy jego były wlepione w widne na niebie dalekie polskie góry. Długi, czarny policzek przywarł do zardzewiałych krat, włosy zwisły w tyle zadartej głowy długimi strzępami jak nastroszone ptasie pióra. Tak wisząc w oknie zaśpiewał, zaklął, zaszlochał:

„Ej, wirsycku ⁸⁾, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić,
Ej kieby mi się mogła, ej, moja wolność wrócić...”

Był to krzyk przeciągły, prawdziwy krzyk z głębi duszy wołający na góry, które żyją i czują. Całe podziemie, cały zamek napęlił ten głos. Dozorca siepał się z więźniem. Ten jakby zapomniiał, gdzie jest i co się z nim dzieje, śpiewał jeszcze mocniej:

„Ej wirsycku, wirsycku, ej dałbyk cię ozłocić...”

Udało się wreszcie strażnikowi grodu chwycić zbója za kołnier i zwlec go na dół.

Za chwilę góral, wtłoczony w obręcz, przykuty do haka, na swoim miejscu siedział już w kucki.

— Dawno tu siedzisz? — spytał towarzysz.

— Musi dawno!

⁶⁾ Stój

⁷⁾ Na dół

⁸⁾ Wirch — szczyt góry

— Ile czasu?

— Od siedmi roków siedzem.

— Od siedmi... A za co siedzisz?

— Za co? A tobie na co wiedzieć?

— Nie powiesz?

— Co mi ta! Cłeku! Powim. Za cóz byk miał siedzieć, kieć dezenterował.

— Kiedy?

— He! Kie ja z wojska? Kęs casu, bracie. Wzieni me w halak. Klecki⁹⁾ nam koło usy pozapłatowali, porteckie cyrwone dali i hybaj! Do pandurów¹⁰⁾. Poślimy we Węgry, net! ku morzu, w takie strasne równie, pustacie, co nie daj Boze. Wytrzymałek bez jeden rok, bez drugi, alek ni móg dockać końca kraju... Telo me dockliwiło, cok wzion i zdezenterował. We dnie jek sie krył, a na mroku leciał ku halom. Ale sie w jednym mieścisku na węgierskiej stronie do mnie przyznali. Wzieni łapać. Dopadli me w takiej wąskiej ulicce, zaparłek sie do muru plecami — byłek chłop! wzionek skałami¹¹⁾ prać, byłbyk to poprał na kupę, nie daliby rady. Ale me stukom wzieni. Zaśli me ze zadku, postronek na syje zarucili i łapili. Toz to w seści me bez miasto wlekli. Musiałek bez takom ulice biegać, co me z dwok stron bili. Cosi pięćset kijów wsypali. Dobrze! Juści odesłali me z wartownikami do Preśburgu, do regimenta. Ale w drodze useptalimy się z jednym wojakiem, co me wiód, co był z Luptowa, juści zdezenterowaliśmy oba. Kaz¹²⁾ było iść? He, bracie! Co ino raz wiater nas obleciał, wiedzielimy, ka! Dopadlimy do hal, uzdobierali się, Luptak był za harnasia¹³⁾, i pošli na zbój. He, to było zycie honorne! Śli my we Pol-

⁹⁾ Warkoczyki

¹⁰⁾ Piechota węgierska

¹¹⁾ Kamieniami

¹²⁾ Gdzie

¹³⁾ Herszt zbójców

skom, cy ta na Węgry, na Śląsk, na Morawe, sedy¹⁴⁾ nas było pełno, ale w komóрах ludzkich pusto... Pandury a wojaki wse nam deptali po piętak, a ślakowali. Na ostatek źle nam wysło. A syćko bez babe! Kto się frajerek rad trzymał, ten niedługo zbójował. Zabawilimy się hań u jednej nieskoro w nocy i po ćmie nas przysiedli. Pięcioro uciekło, ja zaś w pazdurach im został.

— Cóż wtedy?

— W *Sifcug*, bracie.

— Cóż to jest?

— Nie wis? To się lepiej ani nie pytaj...

— Ja się niczego nie lękam. Powiadaj.

— *Sifcug*, wis, to je tak: Hań, nad okrutnom wodom, nad Dunajem, ka Sigedyn, wis? Som ta jest młacyska¹⁵⁾, bory strasne, topiele, co ik ani nie zgruntujes, ani nie przeźres¹⁶⁾, bo kansi idzie aze do kraju świata. No toz to nas hań przywiedli, śleje¹⁷⁾, kie koniowi zarucili i wprzagli do takiego *sifu*¹⁸⁾ ze siaciem¹⁹⁾, psenicom — jak padło. *Sif* wodom seł, a tyś sie po kraju potykał ciągnący... Kieś nie wytrzymał, a padł i skapiał, no, to cie hnet w tym błocisku zagrzebli. Ale to ta nic. Dy lekcej hań na dnie w borze gnić z pniakami, niżli tak żyć. Gorzej było, kieś zasłabł, a nie zdek i nie zdoleł iść, kie cie postrzał ozbił abo ci gicale²⁰⁾ w tej młace pokręciło, abo gad uzar²¹⁾. Praśli²²⁾ cie na tym *sifie* i tameś cekał abo końca kary, abo śmierzci. Kie przysła noc, toś jako stał, pokalany po syje, w tyk stoplanyk gałganak, seleş spać. Ale przód łańcuski na ręce, na nogi włożyli, a do belki przykuli.

14) Wszędzie

15) Bagna

16) Przejrzysz

17) Rzemienie jak lejce

18) Statek

19) Ziarno

20) Palce

21) Ugryzł

22) Rzucili

I takeś gnił w tym gnoju i gawiedzi ²³⁾, a zima ²⁴⁾ cie trzęsła. Bo w tyk młacyskak, kie sie zmirkało ²⁵⁾, sła ze ziemie taka mgła gęsta, brzyćka, z takim pukem, to cie tak przejeno, coś zębami piknie kłapał jako wilk. A na raniu, lemze ²⁶⁾ ma-
lućko namieniało na świtanie, hybaj! we wode, w młacysko!
A nie kces, to cie tak kijem dobili, coś nie kciał, a wstał i seł ²⁷⁾
choć ci płacki z óc durkały ²⁸⁾.

Arbeit... Arbeit... Arbeit...

Seweryna Szmaglewska: *Dymy nad Birkenau*

Ciemna noc. W baraku nie podzielonym na izby ani na części śpi na przedziwnych rusztowaniach ponad tysiąc kobiet. Ciemność gęsta, pełna oddechów i wyziewów. Koce, których więzień nie ma okazji zobaczyć nigdy przy świetle, wydają się również ciemne. Każdy zawija się w nie jak najszczelniej i czuje wdzięczność za odrobinę ciepła daną znużonemu ciału, lecz jednocześnie mimo woli usiłuje odgadnąć poprzednie przeznaczenie tych koców i czuje wstręt. Skulone ciała — czasem po dziesięć na dwóch metrach kwadratowych — drętwieją na twardych posłaniach. Jakieś krótkie przebudzenie, nagle rozdarcie ekranu sennych marzeń bolesną świadomością, że to Oświęcim. Człowiek przygarnia się bliżej do swego śpiącego sąsiada — z szaloną radością, jeśli jest to ktoś bliski, ze smutkiem, gdy to ktoś obcy lub wrogi. Sen, wierny sprzymierzeniec, spada szybko na śmiertelnie znużonych ludzi głuszając wszelkie odczucia. Kto spać może, śpi mocno snem skondensowanym niejako, całym systemem nerwowym chłonąc wypoczynek. Krótkie są noce w obozie. A trzeba w ciągu nich, leżąc nieruchomo w ciemnej czeluści barłogu, zrzucić z siebie zmęczenie z dnia minionego i znaleźć siły potrzebne na dzień następny...

²³⁾ Robactwo

²⁴⁾ Dreszcze

²⁵⁾ Zmierzchało

²⁶⁾ Ledwie

²⁷⁾ Szedł

²⁸⁾ Łzy z oczu ciekły

Nikt ze śpiących nie słyszy przeciągłych gwizdków na wstawanie rozlegających się w kilku stronach obozu. Ale już wewnętrzna policja więźniów pełniąca gorliwie służbę i w dzień, i w nocy daje o sobie znać. Ponure, jękliwe *Aufstehen!*¹⁾ niesie się po całym baraku zatrzymując się nad śpiącymi, poparte uderzeniami kija o deski każdej pryczy. Jest zupełnie ciemno. Nękające *Aufstehen!* rozlega się nieprzerwanie, wreszcie zdenerwowany głos nocnej warty rozstaje się z językiem niemieckim, w którym zna tylko to jedno źle wymawiane słowo i przerzuca się na polski, w którym wysławia się biegle i swobodnie:

— Wstajać, gnoje pierońskie, inteligencjo przeklęta, wstajać! *Looos! Aufstehen!*

Kij tym razem nie poprzestaje na deskach, lecz sięga głębiej bijąc śpiące kobiety po nogach, ramionach i głowie. Wszczyna się ruch. Posłusznie podnoszą się obudzone, szukają błędzącymi w ciemności rękami swych butów ukrytych pod siennikiem. Potracając się nawzajem, wdziwiają te części odzienia, które zdjęły z siebie na noc. Z przyściennych czeluści, przypominających budowę swą katakumby, zaczynają się przedostawać na wąskie przejścia, w których jest już ciasno.

Kto czuje się na siłach, kto ma nie opuchnięte nogi, może jeszcze pobiec przed porannym apelem na poszukiwanie wody. Dla piętnastu baraków murowanych i piętnastu drewnianych dostarcza wody jeden kran za klozetem, czynny najczęściej nad ranem, przed gwizdkami na apel. Jeżeli wstanie się dość wcześnie, jeżeli ma się szczęście, że właśnie w tym dniu woda otwarta, jeżeli uda się przecisnąć przez tłum setek lub tysięcy kobiet, jeżeli uniknie się kija jakiegś *Capo-Niemki* rozdającej nawet tu ciosy z wrodzonego zamięłowania do porządku, to w szczęśliwym wypadku chwyci się do miski kwaterkę wody. Można teraz, jeżeli tłum rozkołysany nie wyleje jej, robić, co się tylko podoba: pić albo prać, albo myć się — co kto chce.

1) Wstawać!

Tymczasem blokowa i sztubowe zaczynają ustawiać apel. Nie mają one najczęściej pojęcia o wychowaniu fizycznym, o mustrze, a czasem nawet i o rachunkach, przeto ustawianie i liczenie apelu trwa niezwykle długo. Tymczasem rozdano kawę, jedyny posiłek poranny przed dniem pracy. Skostniałe dłonie chwytają skwapliwie blaszaną miskę, na której dnie widnieje trochę czarnego płynu. Nie unosi się już para nad napojem, ale drżące wargi szukają odrobiny ciepła dla siebie, ręce usiłują ogrzać się od dna miski.

Gwiazdy zaczynają już blednąć, ale zorza nie zjawia się jeszcze na Wschodzie. Policzywszy ludzi przed swoim blokiem sztubowe zaczynają wyprowadzać gorączkujące lub osłabione czerwone chore i umieszczać je na stołeczkach lub na ziemi. I wreszcie wynoszą konające, żeby ułożyć je przed blokiem dla przeliczenia. Bezwładnie wyciągnięte na mokrej ziemi postaci ludzkie, przyrzucone taplającymi się w błocie kocami, przykuwają wzrok zdrowych, które przybyły do obozu niedawno. Ktoś mówi cicho: „Niosą teraz panią Pietkiewiczową, żonę kapitana wojsk polskich. Umrze już lada dzień.“ A tu leży pani Zahorska, literatka. Inteligencja znosi to wszystko najgorzej. Tam siedzi dr Garlicka — lekarz-ginekolog z Warszawy, obok niej pani Grocholska z Polskiego Radia.

Apel nie zgadza się (w r. 1942 prawie nigdy apel się nie zgadzał). Blokowa przelicza w dalszym ciągu, SS-manki sprawdzają, a następnie obchodzą druty, żeby dodać liczbę martwych. Równocześnie gromada gorliwych z *Capo*²⁾ i *Ober-capo* i *Lager Älteste*³⁾ na czele poszukuje tych, które nie zgłosiły się na apel. W ciągu trzech kwadransów, czasem godziny od chwili, gdy stwierdzono brak, zdołano wyciągnąć z rozmaitych zakamarków nocy, z nieuczęszczanych kątów za blokami, z rowów i z głębin ziemi te wszystkie istoty, które chciały już tylko skończyć spokojnie. Odnaleziono je, wywleczono z ich schowków.

2) Nadzorczyńi

3) Starsza obozu

Musiały raz jeszcze stanąć do apelu. Poszturchiwane, lżone, szły przed baraki, gdzie od dawna stał apel.

Gwar dolatujący z obozu męskiego świadczy o tym, że mężczyźni wyruszają już do pracy. U wylotu drogi przy małym domku stoją SS-mani i czekają. Mężczyźni idą równo w takt grającej orkiestry. Uważny *Capo* z żółtą opaską na ramieniu woła donośnie:

— *Links!* ⁴⁾ *Links! Links! - und links!*

Idą cisi i spokojni jak mary bezwolne, bez ochoty — i bez protestu. Pierwsi są już blisko SS-manów, a z bramy wychodzą ciągle nowi. Teraz *Capo* zrywa czapkę z głowy, krzyczy w stronę kolumny maszerującej:

— *Mützen ab!* ⁵⁾ — i pędem rzuca się w stronę SS-manów. Jest niemal coś hańbiącego w widoku ogolonych głów bezbronych mężczyzn maszerujących karnie przed kilkoma uzbrojonymi Niemcami; jest coś przykrego w postawie *Capo*, który stoi na baczność przycisnąwszy swoją czapkę do pasiastych spodni i melduje. Rozwiera się druga brama i kolumna wychodzi robiąc miejsce następnej. Znow *Capo*, znow piątki, znow *links* — to samo. Tak samo chudzi i czarni są wszyscy, tak samo nieruchomo sterczą ich ogolone głowy, tak samo ręce przywarły do spodni. Mechaniczność wykonywanych przez nich ruchów budzi przestach. Idą jak jakieś wielkie, martwe wojsko, odbywają swą defiladę, idą ciągle nowi i nowi, liczyć ich można łatwo po pięciu. Minął tysiąc, dwa — dziesięć tysięcy, a oni ciągle idą. Gdyby tam szedł twój ojciec, twój brat lub syn — nie poznasz, tak starzec podobny jest do młodzieńca swą wątłą postacią, a młody chłopiec pooraną ma twarz jak starzec. Wszyscy jednakowo sztywni i martwi. I wciąż bez przerwy idą naprzód obok grającej orkiestry, obok SS-manów, obok domku wartowniczego, za bramę, za druty, w pole.

Ciszę obozu kobiecego zakrzepłego w nieruchome grupy apelowe przecina wreszcie upragniony głos gwizdka, po któ-

4) Lewa!

5) Czapki z głów!

rym fanfarą wielojęzyczną wybucha ogólny gwar. Jest to pora wychodzenia poza bramę, pora nieopisanego zgiełku. Schrypnięte *Capo* i *anweizerki* biegają nieustannie, zbierając ludzi do pracy. Ponad tą wrzawą rozlega się niemilknące szczekanie psów. To SS-mani czekają przed bramą, żeby wyprowadzić ludzi do pracy.

Jest wewnątrz obozu grupa, która nie wychodzi nigdy za bramę, a więc nie doświadcza przykrości związanych z pracą w polu. Odpowiedzialna za tę grupę jest pani Monika Galicyna, jedyna, zdaje się, w tym czasie Polka spełniająca funkcje *anweizerki*. Czerwona opaska na jej ramieniu jest oznaką władzy. „U Moniki” starają się pracować te, które w żaden sposób nie są zdolne do ciężkiej pracy. Co rano po zakończeniu apelu Monika odchodzi ze swą grupą do składu po narzędzia. Po drodze ciągle ktoś się dołącza prosząc oczyma Monikę, żeby pozwoliła zostać. Monika nikomu nie odmawia. Jej grupa jest zawsze zbyt liczna. Wchodzi z kobietami do składu narzędzi i tam patrząc przez okno pozwala się schronić pod dachem i ogrzać — możliwie najdłużej. Dopiero gdy mundur SS-mański zjawia się w pobliżu, Monika mówi:

— Wyjdziemy!

Uzbrojone w łopaty, miotły, taczki, idą sprzątać obóz. Kilkanaście chorych kryje się tam codziennie korzystając z tego, że Monika nie tylko nie bije, ale nie skłania nikogo do pracy. Jej zajęcie polega na patrzeniu bez przerwy w stronę *Blockführerstuby* ⁶⁾. Czasem podchodzi do kryjących się przed deszczem kobiet i mówi spokojnie:

— Proszę poruszać się trochę, idzie *Oberaufseherin* ⁷⁾.

Monika pierwsza dowiodła swoim postępowaniem, że będąc funkcyjną można doskonale ułatwiać życie i pomagać swoim towarzyszkom. Niestety, bardzo niewiele funkcyjnych w przyszłości postępowało podobnie jak Monika. Te nieliczne, które

⁶⁾ Izba kierowników bloku

⁷⁾ Starsza nadzorczyni

poszły w jej ślady, wpłynęły w znacznej mierze na poprawę sytuacji kobiet.

W porównaniu z tłumami chodzącymi do pracy w pole, ten mały odcinek ratowany przez Monikę niemalże nie istnieje.

Dla większości pozostaje tylko *Aussenarbeit* (praca na zewnątrz).

Przez bramę idą szeregi nędzarek. Idą sprężone, równo, rytmicznie. Każda pragnie niczym nie zwrócić na siebie uwagi, pragnie być częstką sunącej gąsienicy i niczym więcej. Bezpieczniejsze są w tej chwili te, które idą w środku piątek, ponieważ kije podniesione przez SS-manów w celu liczenia kobiet, bardzo często spadają z łađa powodu na głowy idących z brzegu.

Po obu stronach bramy, jak u wrót mitycznych piekieł, wyją, ujadają, pienia się z wściekłości i prężą na smyczach wielkie psy różnych ras, wytresowane w rzucaniu się na ludzi. Za każdą kolumną, niezależnie od jej liczebności, rusza od bramy kilku SS-manów dźwigając ręczne karabiny maszynowe i prowadząc psy.

Jest świt, nie widać jeszcze słońca, tylko różowe smugi zorzy. Na drzewach i kępkach trawy srebrzy się szron.

Wielka kolumna Polek skierowuje się na lewo i zatrzymuje się przy ostatnim narożniku obozu męskiego. Tam trzej szefowie biorą sobie odpowiednią ilość kobiet do pracy. Pierwsza grupa zostaje na miejscu przy małych wagonikach, druga idzie znacznie dalej aż pod nowozbudowane baraki, trzecia udaje się drogą na lewo i znika w lesie.

Praca przy wagonikach ma wiele stron dodatnich, przede wszystkim tę, że czas do wieczora mierzy się ilością załadowanych i przewiezionych wózków. Ponadto, ponieważ pracuje się na górze piasku, nigdy pod nogami nie ma błota, choć deszcz ze śniegiem tworzy gdzie indziej kałuże. Natomiast przy wagonikach nie ma się gdzie schować przed nawałnicą niesioną jesiennym wichrem. Z miejsca pracy nie wolno się ruszyć pod żadnym pozorem. Tak więc, gdy ręce trzymające łopatę stają

się czerwone i martwe, gdy odzież i bielizna przemokły na wskroś, a woda spływa swobodnie po plecach, trzeba stać na swoim miejscu. Najmilsze są te dni, w których deszczowa nawałnica mija szybko, a wiatr przewiewa i suszy odzież na rozgrzewających się od pracy ciałach. Gorzej, gdy deszcz pada do wieczora i trzeba swą mokrą odzież ułożyć na noc na posłaniu i przykryć własnym ciałem, żeby trochę przeschła.

Pracując w grupie, którą zabierano aż pod same baraki, można wprowadzić na wypadek deszczu stanąć pod ścianami, lecz praca tu jest bardzo ciężka.

Praca grupy drugiej polega na montowaniu linii szyn. Przenoszenie szyn to ciężka praca. Szyny znajdują się gdzieś pod lasem, poobrastane mchem i trawą, wgniecione częściowo w miękki grunt.

— *Ich brauche zwanzig Stück, zwanzig junge kräftige Weiber* ⁸⁾).

Należy odkręcić śruby, którymi były spojone całe szyny, wejść w przegrody mniej więcej w co drugie czy trzecie przęsło, chwycić dłońmi po dwu stronach szyny i „hoch” ⁹⁾. Kręgosłup wygina się w łuk, ręce prężą się w dół jak dwie napięte struny, w których z każdą chwilą powiększa się ból. Najciężej jest wysokim, ale nikt nie myśli o tym, żeby do tej pracy dobrać kobiety równego wzrostu. Pęknie kręgosłup jednej robotnicy — tysiące, dziesiątki tysięcy następnych przyjdą jeszcze do tej pracy i wiele z nich zerwie również swe siły.

Grupa pracująca w lesie wzbudza ogólną zazdrość. Dość trudno znaleźć się w tej części wielkiej kolumny, żeby zostać na końcu razem z określoną ilością piątek idących do lasu. Las! Tęsknota do jego ciszy kojącej po strasliwym, niemilknącym gwarze lagru, tęsknota choć do chwili samotności, gdy tymczasem w obozie człowiek nigdy nie jest sam, w dzień ani w nocy, w żadnej sytuacji, tęsknota do trzasku gałęzi gnących się na

8) Potrzeba mi dwudziestu sztuk, dwudziestu młodych silnych kobiet

9) W górę!

wietrze, do cichego poświstu wilgi — ptaka leśnych ustroni — to wszystko sprawia że wiele kobiet zna tajemnice tak doskonałego ustawienia się w piątkach, żeby na pewno, nieomylnie być zaliczoną do grupy pracujących w lesie. Robota jest tu lżejsza niż gdzie indziej; polega ona na brukowaniu drogi. Majster — Ślązak nie uznaje w kobietach równowartościowej z mężczyznami siły fizycznej i nie wymaga zbyt wielkich wyników. Poza tym las osłania przed surowymi oczami SS-manów, obowiązujące bicie i popędzanie nie musi więc być koniecznie stosowane. Układa się ciężkie głazy kamienne dobierając odpowiednie kształtem, zasypuje się szczeliny żwirem i wreszcie ubija się gotową drogę ciężkimi stemplami.

Przerwa obiadowa trwa godzinę, z czego przynajmniej połowę zabiera stanie w ogonku po zupę. Zupę uważa się za świetną, jeżeli wyłowi się z niej kilka kawałków ziemniaka albo skrawek mięsnej konserwy — to jednak przytrafia się tylko tym, które miały szczęście dostać zupę z dna kotła. Resztę czasu można poświęcić odpoczynkowi. Można umyć się wodą z małego rowku, tak czystą, że niektórym służy nawet do picia. Można by leżeć na żółknącej trawie — ale na to szkoda czasu. Ciało rozgrzane zupą i południowe światło — to rzadka okazja; a więc pośpiesznie ściąga się część odzieży, żeby się odwszyć. Jest to zajęcie, któremu poświęca się każdą, nawet najkrótszą wolną chwilę.

Na liściach są jeszcze krople wody, ale wiatr przegnał już chmury i wyczyścił niebo. Po całym dniu spędzonym na otwartej przestrzeni ocenić teraz można wyziewy obozu, do którego zbliża się powracająca z pracy kolumna. Czasem z odległości kilku kilometrów zatrute powietrze daje już znać o sobie przypominając na przemian odkryte klozety, cuchnące okolice baraków szpitalnych lub najbardziej charakterystyczny oddech krematoriów. Wiatr nagłymi porywami nanosi wyziewy, rozwłóczy je po polach, rozciąga na dużej przestrzeni.

Ze wszystkich stron jak okiem sięgnąć zbliżają się kolumny, suną szarym kształtem przez wszystkie polne dro-

gi, przez zielone ścieżyny wśród łąk, przez groble między trzęsawiskami. To więźniowie Oświęcimia wracają z pracy. W przedwieczornej ciszy ogarniającej ziemię idą niosąc na ramionach zmarłych towarzyszy. Mężczyzn ginie znacznie więcej przy pracy niż kobiet, gdyż mężczyźni są jeszcze bezwzględniej traktowani. Każdą niemal kolumnę męską zamyka smutny pochód. W bramie orkiestra gra głośno niemieckie marsze, których melodia na zawsze zapada w serca chyba tylko po to, żeby niezmiennie budzić w pamięci obraz pochodów śmierci.

Kobiety *lager* wygląda w porze powrotu z pracy zupełnie inaczej niż rano. Zdawać by się mogło, że w ciągu dnia działo się coś niepojętego, czego rezultaty można teraz oglądać. Na ziemi pomiędzy wszystkimi barakami leżą w przeróżnych pozycjach kobiety, najczęściej Żydówki. Młode ich ciała mają sinawą barwę, twarze wykrzywione grymasem śmierci, zęby zacięte w szerniałych rozchylonych wargach. Żeby przejść do swojego baraku, trzeba je wymijać, przekraczać, przeskakiwać, tak pełno leży ich wszędzie tarasując drogę.

Wieczorny apel to znów przewlekłe przepędzanie tych ciężko chorych z bloku do bloku, ustawianie ich, układanie zmarłych, liczenie tych, które jeszcze żyją, i tych, którym dzień dzisiejszy przyniósł wyzwolenie. Słońce zachodzi, gdy zaczyna się apel wieczorny, lecz jest już całkiem ciemno, gdy się kończy. Kończy się dzień — o jeden krok stała się krótsza nieznana droga, która pozostała jeszcze do przebycia. Ciemne baraki, pełne zgielku i wrzawy, tchną gorączkowym podnieceniem, zioną odgłosami walki o byt, o kubek ciepłej kawy, o suchy kąć na posłaniu, o skrawek podartego koca.

ISTOTA NIEWOLNICTWA

Czym jest niewolnictwo? Kto to są niewolnicy? Pojęcia te, znane dobrze z potocznej mowy, wymagają jednak bliższego określenia i wyjaśnienia. W książce naszej mówiliśmy o niewolnictwie przede wszystkim jako o pewnym systemie organizacji pracy, o instytucji prawnie unormowanej, o niewolnikach zaś jako o wyraźnej warstwie społecznej.

Niewolnictwo jest systemem, który występuje w różnych ustrojach gospodarczych i społecznych od czasów najdawniejszych, a szczerunkowo istnieje jeszcze dzisiaj. Jako instytucja gospodarcza bywa ono stosowane przede wszystkim tam, gdzie technika produkcji i transportu wymaga wielkiego wysiłku fizycznego, gdzie praca jest tak ciężka i nużąca fizycznie, że zmuszać do niej trzeba batem jeńców wojennych lub ludzi podstępem schwytanych czy kupionych na rynku, gdzie w dawnych czasach jawnie sprzedawano ten ludzki towar. Oczywiście pod batem i w poniewierce ludzie pracują niechętnie i niewolnicza siła robocza jest bardzo mało warta. Mimo to niewolnictwo zjawia się wszędzie, gdzie znajdują się odpowiednie warunki gospodarcze, społeczne i polityczne i gdzie istnieją możliwości bezwzględne zapanowania człowieka nad człowiekiem. Możliwości te są bardzo rozmaite, zawsze jednak gra tu rolę potrzeba taniej siły roboczej, wspomagana przez gwałt, który jest zasadniczą cechą niewolnictwa.

Spróbujmy sformułować pokrótce istotę niewolnictwa, sformułować jego prawne i gospodarcze podstawy.

I. *Pod względem prawnym* władza pana nad niewolnikami jest nieograniczona -- jest to najwyższy stopień ujarzmienia człowieka przez człowieka.

1. Niewolnik jest bezwarunkową własnością pana, zdobytą bądź na wojnie, bądź drogą kupna, dziedziczenia, darowizny itp.

2. Pan w stosunku do niewolnika ma prawo życia i śmierci. Może go bezkarnie zabić, torturować, okaleczyć, więzić.

3. Władze państwowe nie wglądają zazwyczaj w stosunek pana do niewolnika, są natomiast powoływane do ścigania go i chwywania, jeżeli zbiegnie, i oddawania panu.

4. Pan może pozwolić niewolnikowi — lub nie — na małżeństwo, zabrać mu żonę i dzieci, sprzedać każdego z członków rodziny osobno.

II. *Pod względem gospodarczym* niewolnictwo ująć można w następujące punkty:

1. Niewolnik będąc własnością pana musi bezpłatnie na niego pracować. Czas i ilość pracy oraz nagroda czy kara normowana jest tylko przez pana.

2. Pan daje niewolnikowi minimum utrzymania, tj. mieszkanie, życie i ubranie takie, jakie sam uzna za stosowne.

3. Niewolnik nie ma własności. Wszystko, co dostaje do użytkowania, a więc mieszkanie, ubranie, ziemia, czy inny warsztat i narzędzia pracy — to bezwarunkowa własność pana.

Schemat ten jest bardzo ogólny i nie bierze pod uwagę okresów, w których niewolnictwo upadało i prawodawstwo zaczynało brać w opiekę niewolników, np. w Rzymie w I i II w. po Chr. Nie odpowiadają również schematowi różne formy niewolnictwa, które przetrwały wieki nawet tam, gdzie oficjalnie instytucja ta została zniesiona.

W czasach starożytnych niewolnictwo było instytucją prawnie uznaną, wchodzącą w skład ustroju społecznego, a praca niewolnicza była szeroko stosowana. Zagadnienie człowieczeństwa niewolników i ideę ich równości z innymi ludźmi wysunęło

dopiero chrześcijaństwo. W starożytnym państwie rzymskim pierwsi chrześcijanie byli bojownikami tej idei.

Idea miłości bliźniego, w zasadzie przyjęta przez średnio-wieczny świat chrześcijański, z trudem jednak wywalczała tam sobie prawo istnienia. Nie stosowano jej do jeńców wojen-nych i prawa zwycięzcy do pojmanych w walce ludzi nikt nie kwestionował. Było to prawo nie tylko królów i książąt, ale także każdego z uczestników walki, którzy w tej czy innej for-mie zmuszali swoich brańców do pracy na siebie. Okrutny sto-sunek do jeńców zaostrzył się ze stron obu w walkach z „nie-wiernymi“, tj. muzułmanami, przede wszystkim z Turkami i Ta-tarami, którzy zagarnęli Europę południowo-wschodnią na dłu-gie wieki.

Niewolnictwo w świecie chrześcijańskim odżywa z wielką siłą po odkryciu Ameryki (1492). Praca niewolnicza złapa-nych w Afryce Murzynów jest podstawą rozwoju gospodarcze-go amerykańskich Stanów Zjednoczonych, które znoszą niewol-nictwo dopiero w drugiej połowie XIX w. Ogólna demokraty-zacja Europy, walki o wyzwolenie proletariatu i o wyzwolenie uciskanych narodów wpłynęły także na złagodzenie stosunku białych do ludów pozaeuropejskich w końcu XIX i na początku XX wieku. Członkiem Ligi Narodów nie mogło być państwo jawnie utrzymujące u siebie niewolnictwo. Tym sposobem po I wojnie światowej sprawa wyglądała na zasadniczo zlikwido-waną.

Tymczasem wbrew logice rozwoju społecznego i gospodar-czego zwycięstwo hitleryzmu przyniosło nawrót do niewolni-czych form starożytności. System pracy w hitlerowskich obo-zach nawet w szczegółach wzorowany był na systemie pracy niewolniczej w starożytności.

Idea hitleryzmu, zrodzona w samym sercu „kulturalnej“ Europy, wskrzesza niewolnictwo w najdzikszej i najokrutniej-szej formie. Sąd powojenny nad okrutnikami jest potępieniem nie tylko zbrodniarzy, ale samej zasady niewolnictwa, zasady bezwzględного panowania człowieka nad człowiekiem.

S P I S T R E Ś C I

	Str.
Od autorek	3
Wstęp	5
Niewolnictwo w Egipcie	
Wpływ przyrody na kształtowanie się cywilizacji i organizacja pracy w starożytnym Egipcie — Bolesław Prus (z pow. <i>Faraon</i>)	9
Ludność wiejska w Egipcie — Maspero (<i>Historia starożytna Wschodu</i> . T. I. — 1893 r.)	
Los niewolnika w starożytnym Egipcie — Bolesław Prus (z pow. <i>Faraon</i>)	16
Pieśń wojownika egipskiego — Bolesław Prus (z pow. <i>Faraon</i>)	19
Kapłan egipski w walce z faraonem — Bolesław Prus (z pow. <i>Faraon</i>)	20
Niewolnictwo w Rzymie	
Niewolnicy a wolni proletariusze w Rzymie (według dzieła dra G. F. Herzberga — <i>Historia Hellady i Rzymu</i>)	25
Życie niewolników w państwie rzymskim — prof. Wipper (z dzieła <i>Zapisy historii państwa rzymskiego</i>)	27
Gospodarstwa niewolnicze w starożytnym państwie rzymskim — Edw. Abramowski, <i>Feudalizm</i> (Pisma T. III)	29
Niewolnicy zbytku — Henryk Sienkiewicz (z pow. <i>Quo vadis?</i>)	30
Pan życia i śmierci — Henryk Sienkiewicz (z pow. <i>Quo vadis?</i>)	34
Piękna niewolnica — Henryk Sienkiewicz (z pow. <i>Quo vadis?</i>)	37
Wojny niewolników w Rzymie — dr G. F. Herzberg (z dzieła <i>Historia Hellady i Rzymu</i>)	40
Jasyr tatarski i turecki	
Powieść o niewoli na Wschodzie — Karol Szajnocha (<i>Szkice</i>)	43

Niewolnictwo kolonialne

Str.

Krótki zarys długich dziejów niewolnictwa kolonialnego — Hipolit Gliwic (z rozpr. pt. <i>Materiał ludzki w gospodarce światowej</i>)	47
Targ niewolników w Nowym Orleanie — H. Beecher - Stowe (z pow. <i>Chata wuja Toma</i>)	52

Niewolnictwo współczesne

Ośrodki niewolnictwa współczesnego — Hipolit Gliwic (z rozpr. <i>Materiał ludzki w gospodarce światowej</i>)	55
Niewolnictwo w Ukajali — Arkady Fiedler (z książki pt. <i>Ryby śpiewają w Ukajali</i>)	57
Jądro ciemności — Józef Conrad (z noweli osnutej na tle wspomnień osobistych autora)	61
Prawa obywatelskie robotnika kolorowego w Meksyku — Trawen (z pow. <i>Bawełna i krew</i>)	65

Niewolnicy — więźniowie

Galernicy — Wiktor Hugo (z pow. <i>Nędznicy</i>)	68
„Sifcug” — St. Żeromski (z pow. <i>Popioły</i>)	72
Arbeit... Arbeit... Arbeit... — Seweryna Szmaglewska (z książki <i>Dymy nad Birkenau</i>)	77

Istota niewolnictwa	86
-------------------------------	----



Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych

Centrala: Warszawa, pl. Dąbrowskiego 8, tel. 8-53-30 i 8-33-02

polecają podręczniki:

J ę z y k p o l s k i

- B a c u l e w s k i J. A., Budzyk K., Pietrusiewiczowa J., Piorunowa A., *Wczoraj i dziś*. Podręcznik dla gimn. zaw., książka pomocnicza dla gimn. ogólnokszt. i dla szkół i kursów dla dorosłych. Kl. I.
- B a c z y ń s k a J., Kowalczyńska A., Woyciechowska H., *Wśród dzieci*. Czytanki polskie dla II kl. szk. podst.
- B i e l a k F r., Szyszkowski Wł., Bardach A.: *Czytanki polskie* dla VI kl. szk. podst. Zeszyt I, Zeszyt II, Zeszyt III.
- B i e l a k F r., Szyszkowski Wł., Bardach A.: *Czytanki polskie* dla VII kl. szk. podst. Zeszyt I, Zeszyt II, Zeszyt III.
- B i e l a k F r., Szyszkowski Wł., Bardach A.: *Czytanki polskie* dla VIII kl. szk. podst. Zeszyt I, Zeszyt II.
- B r o n i e w s k a J.: *W nowej szkole*. Czytanki polskie dla IV kl. szk. podst.
- F a l s k i M.: *Elementarz dla szkół miejskich*.
- F a l s k i M.: *Zadania elementarzowe dla uczniów szkół miejskich* (6 zesz.).
- F a l s k i M.: *Elementarz dla szkół wiejskich*.
- F a l s k i M.: *Zadania elementarzowe dla uczniów szkół wiejskich* (6 zesz.).
- K a s z t e l o w i o z S t., Madeja J.: *Mówimy po polsku*. Podręcznik pomocniczy do nauki języka polskiego na Ziemiach Odzyskanych.
- L a u s z K., Staszewski K., Zwierzchowska - Ferencowa Z.: *O świecie*. Czytanki polskie dla V kl. szk. podst.
- L a u s z K., Zwierzchowska - Ferencowa Z.: *Droga do jutra*. Wypisy dla VIII kl. szk. podst.
- Nie rzucim ziemi*. Czytanki polskie do użytku na kursach i w szkołach podstawowych dla dorosłych na Ziemiach Odzyskanych. Podręcznik dla uczniów oraz materiał pomocniczy w nauczaniu dla nauczyciela.
- R y t l o w a J., Piorunowa A., Lewandowski Z.: *Wspólnymi siłami*. Czytanki polskie dla III kl. szk. podst.
- S z y p e r H., Wojeński T.: *Ku lepszej przyszłości*. Podręcznik pomocniczy do nauki języka polskiego w klasach VI—VIII szk. podst. i na kursach dla dorosłych.

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

1259/2 Cz.1



12-001259-001-0